

GEORGES SIMENON

CHIŃSKIE CIENIE

**TYTUŁ ORYGINAŁU: L'OMBRE CHINOISE
PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ SZAFAR**

I. CHIŃSKIE CIENIE

Była dziesiąta wieczór. Kraty skweru już zamknięto, plac des Vosges wydawał się bezludny. Na asfalcie lśniły ślady pozostawione przez samochody, nieprzerwanie szumiały fontanny. Drzewa były огоłoczone z liści, na niebie monotonnie odcinały się identyczne dachy okolicznych domów.

Pod wspianymi arkadami, okalającymi plac ze wszystkich stron, światła widziało się niewiele, paliło się raptem w trzech czy czterech sklepikach. Komisarz Maigret zauważył rodzinę, spożywającą kolację w jednym z takich sklepików, zatłoczonym wieńcami pogrzebowymi ze sztucznych kwiatów.

Usiłował odczytać numery domów nad bramami, ale ledwie minął sklepik z wieńcami, gdy z cienia wyłoniła się drobna sylwetka.

— Czy to do pana dzwoniłam przed chwilą?

Od dawna już musiała na niego czatować. Mimo listopadowego chłodu nie zarzuciła nawet płaszcza na fartuch. Nos miała zaczerwieniony, oczy niespokojne.

W odległości niespełna stu metrów, na rogu ulicy de Bearn, pełnił służbę umundurowany posterunkowy.

— Jego pani nie zawiadomiła? — półgłosem zapytał Maigret.

— Nie! Ze względu na panią de Saint-Marc, która właśnie ma rodzić... Niech pan spojrzy, to samochód lekarza, którego nagle wezwano.

Przy chodniku stały trzy samochody z zapalonymi reflektorami i czerwonym światłem z tyłu. Na niebie skąpanym poświatą księżycą, przesuwały się chmury. W powietrzu czuło się pierwszy śnieg.

Dozorczyńni weszła w bramę kamienicy, oświetloną dwudziestopięciowicową żarówką, przyćmioną od kurzu.

— Zaraz wszystko wytłumaczę... Tu jest podwórze, trzeba je przejść, żeby się dostać do jakiegokolwiek części domu, tylko do tych dwóch sklepików wchodzi się z ulicy. Tam, po lewej stronie, jest moja portiernia. Niech pan nie patrzy, nie miałam jeszcze czasu ułożyć dzieci do snu...

W nie posprzątej kuchni było ich dwoje, chłopczyk i dziewczynka. Ale dozorczyńni weszła do siebie. Wskazała długi budynek o harmonijnych proporcjach, w końcu rozległego podwórza.

— To tam. Zaraz pan zrozumie.

Maigret z ciekawością przyglądał się tej dziwnej kobiecie, której niespokojne ręce zdradzały rozgorączkowanie.

„Komisarz proszony do telefonu!” — powiedziano mu nieco wcześniej w centrali policji kryminalnej na nabrzeżu des Orfèvres.

W słuchawce usłyszał przytłumiony głos. Trzy czy cztery razy musiał powtarzać:

— Ależ proszę mówić głośnie! Nic nie słyszę!

— Nie mogę... Dzwonię ze sklepu tytoniowego. No więc...

Samą wiadomość przekazała mu bez ładu i składu:

— Musi pan przyjść natychmiast na plac des Vosges, numer 61... Tak... Zdaje się, że popełniono zbrodnię... Ale żeby na razie nikt się nie dowiedział!

Teraz dozorczyńni wskazywała duże okna na pierwszym piętrze. Za zasłonami dostrzec można było poruszające się cienie.

— To tam...

— Zbrodnia?

— Nie! To pani de Saint-Marc właśnie rodzi... Pierwszy poród... Rozumie pan, ona nie jest zbyt zdrowa...

Na podwórzu było jeszcze mroczniej niż na placu des Vosges. Można się było tylko domyślić schodów za oszklonymi drzwiami, a tu i ówdzie dojrzeć oświetlone okna.

— A zbrodnia?

— Właśnie! O szóstej wyszli pracownicy od Coucheta...

— Chwileczkę. Co to znaczy „od Coucheta”?

— Ten dom w głębi, to laboratorium gdzie wyrabiają szczepionki. Musiał pan słyszeć: szczepionki doktora Rivière.

— To oświetlone okno?

— Zaraz... Dziś mamy trzydziestego, więc pan Couchet był u siebie. Zawsze zostaje sam po zamknięciu biur. Przez szybę widziałam, jak siedział w fotelu. Niech pan spojrzy...

Okno o matowych szybkach. Dziwny cień, jak gdyby człowiek pochylony głęboko nad biurkiem.

— To on?

— Tak. Około ósmej, kiedy opróżniałam kubek na śmiecie, rzuciłam okiem... On pisał, wyraźnie widać było rękę trzymającą pióro lub ołówek.

— A o której popełniono zbrodnię?

— Chwileczkę! Poszłam na górę, żeby się dowiedzieć, co nowego u pani de Saint-Marc. Schodząc popatrzyłam się znów. Siedział tak samo jak teraz, pomyślałam nawet, że zasnął...

Maigret zaczął się niecierpliwić.

— Potem, po kwadransie...

— Dobrze! Więc siedział ciągle na tym samym miejscu! Niech pani przejdzie do rzeczy...

— To wszystko! Chciałam zobaczyć... Zapukałam do drzwi biura. Nikt nie odpowiadał, więc weszłam do środka. On nie żyje, wszędzie pełno krwi...

— Dlaczego pani nie zaalarmowała komisariatu? Dwa kroki stąd na ulicy de Bearn...

— Żeby mi tu przyszli w mundurach! Cały dom przewróciłiby do góry nogami. Przecież panu mówiłam, że pani de Saint-Marc...

Maigret trzymał obie ręce w kieszeniach, fajkę w zębach. Spojrzał w okna na pierwszym piętrze i odniósł wrażenie, że krytyczny moment już się zbliża, gdyż poruszenie było większe. Słysząc było otwieranie drzwi, kroki na schodach. Na podwórzu pojawiła się wysoka, tęga sylwetka, a dozorczytni ujmując ramię komisarza wyszeptęła z szacunkiem:

— Pan de Saint-Marc... Były ambasador... Mężczyzna, którego twarzy nie było widać, stanął,

potem znów zaczął się przechadzać, wreszcie zatrzymał się ponownie, nieustannie obserwując okna własnego mieszkania.

— Pewnie go wyrzucili na dwór. Jeszcze przedtem... Chodźmy... Ładna historia! Znów ten gramofon! I to tuż nad mieszkaniem państwa de Saint-Marc...

Okienko na drugim piętrze, słabiej oświetlone, było zamknięte. Można się było raczej domyślać gramofonu, niż słyszeć muzykę.

Dozorczytni, bezwolna, nerwowa, o zaczerwienionych oczach i niespokojnych dłoniach, ruszyła w głąb podwórza, weszła na niewysokie schodki, do uchylonych drzwi.

— Sam pan zobaczy, po lewej... Ja tam wolę nie wchodzić.

*

Biuro banalne. Jasne meble, jednobarwna tapeta.

I mężczyzna, lat około czterdziestu pięciu, siedzący w fotelu, z głową wspartą na rozrzuconych na biurku papierach. Pocisk ugodził go w samą pierś.

Maigret nastawił uszu: dozorczytni ciągle jeszcze czekała pod drzwiami, a pan de Saint-Marc nadal krążył po podwórzu. Co jakiś czas przez plac przejeżdżał autobus, powodując hałas, który jak gdyby podkreślał następującą po nim ciszę.

Komisarz nie dotykał niczego. Upewnił się tylko, że broni w biurze nie ma, przez trzy czy cztery minuty rozglądał się wokół siebie, powoli pykając fajkę, potem wyszedł z zamyśloną miną.

— No i co?

Dozorczyńni jeszcze czekała. Mówiła szeptem.

— Nic! Nie żyje.

— Pana de Saint–Marc zawołano na górę...

Na piętrze przestawiano meble, trzaskano drzwiami, ktoś biegł.

— Ona jest taka delikatna...

— Taaak — mamrotał Maigret, drapiąc się po karku — tylko że nie o to chodzi. Czy pani wie, kto mógł wejść do biura?

— Ja? Skąd...

— Przepraszam! Ale z portierni powinna pani widzieć przechodzących lokatorów.

— Powinam! Gdyby gospodarz dał mi przyzwoitą portiernię i nie oszczędzał na oświetleniu... Dobrze, jeśli przynajmniej słyszę kroki, a wieczorem widzę cienie! Niektóre kroki już znam.

— Po godzinie szóstej nie zauważyła pani nic nadzwyczajnego?

— Nic! Prawie wszyscy lokatorzy schodzili wysypać śmiecie. To tu, po lewej stronie portierni... Widzi pan, te trzy śmietniki? Przed siódmą nie wolno...

— Przez bramę nikt nie wchodził?

— A skąd ja to mam wiedzieć? Widać, że pan nie zna tej kamienicy! Dwudziestu ośmiu lokatorów... I to nie licząc firmy Coucheta, gdzie stale ktoś wchodzi i wychodzi.

W bramie rozległy się kroki. Na podwórzu wszedł mężczyzna w meloniku, skręcił w lewo i zbliżając się do śmietnika, podniósł pusty kubek. Mimo ciemności musiał zauważyć Maigreta i dozorczyńnię, gdyż przez moment tkwił bez ruchu i wreszcie się odezwał:

— Nie ma nic dla mnie?

— Nie, panie Martin.

Maigret zapytał:

— Kto to?

— Pan Martin, urzędnik w państwowym biurze notarialnym. Mieszka z żoną na drugim piętrze.

— Skąd ten kubek na śmiecie?

— Prawie wszyscy tak robią, kiedy mają wyjść wieczorem na dwór. Wychodząc znoszą, wracając zabierają... Słyszysz pan?

— Co?

— Zdaje się... jak gdyby kwilenie... Gdyby tylko te dwie z drugiego piętra chciały zamknąć ten przekłety gramofon! Przecież doskonale wiedzą, że pani de Saint–Marc rodzi...

Rzuciła się ku schodom, którymi ktoś schodził.

— I co, panie doktorze, chłopiec?

— Córka...

Lekarz przeszedł. Słysząc było, jak uruchamia samochód i odjeżdża.

Dom nadal żył swym codziennym życiem. Mroczne podwórze. Brama z żalozną żarówką. Oświetlone okna i przytłumione dźwięki gramofonu.

Nieboszczyk ciągle siedział w swoim biurze, zupełnie sam, z głową wspartą na rozrzuconych papierach.

Nagle krzyk z drugiego piętra. Krzyk przejmujący, jak wołanie rozpacz. Ale dozorczyńni nawet nie drgnęła, tylko westchnęła otwierając drzwi portierni:

— No, dobra... Znów ta wariatka!

I sama zaczęła krzyczeć, bo któreś z dzieci zbiło talerz. Maigret teraz dopiero mógł przyjrzeć się jej wychudzonej, zmęczonej twarzy i figurze o nieokreślonym wieku.

— Kiedy się zaczną te wszystkie formalności? — zapytała dozorczyńni.

Sklep tytoniowy naprzeciwko był jeszcze otwarty i w kilka minut później Maigret zamknął się w kabinie telefonicznej. Polecenia wydawał półgłosem:

— Zadzwoń do prokuratury... pod sześćdziesiątym pierwszym... prawie na rogu ulicy de Tourenne... I zawiadom służbę kryminalną. Halo! tak, ja zostanę na miejscu...

Przeszedł kilka kroków po trotuarze, machinalnie wszedł w sklepienie bramy i wreszcie utknął w środku podwórza, nadąsany, z zimna kuląc się w ramionach.

W oknach zaczęto gasić światła. Nieboszczyk, jak chiński cień, rysował się na matowej szybie.

Zatrzymała się taksówka. To jeszcze nie był sędzia śledczy. Jakaś młoda kobieta szybkimi krokami przemierzyła podwórze, pozostawiając za sobą ślad perfum, i pchnęła drzwi biura.

II. RÓWNY GOŚĆ

Teraz nastąpiła cała seria fałszywych posunięć, która doprowadziła do pociesznej sytuacji. Młoda kobieta na widok zwłok odwróciła się na pięcie. W obramowaniu drzwi dostrzegła wysoką sylwetkę Maigreta. Skojarzenie nastąpiło automatycznie: tu zabity, tam morderca.

Wytrzeszczyła oczy, skuliła się w kłębek i otworzyła usta, by wzywać pomocy. Torebka wypadła jej z rąk.

Maigret nie miał czasu na długie perswazje. Chwycił ją za ramię i dłonią zakrył usta:

— Cicho! Pani się myli! Jestem z policji...

Nim sens tych słów dotarł do jej świadomości, szamotała się zdenerwowana, próbowała kąsać, kopać obcasem.

Trzask rozdartego jedwabiu — puściło ramiączko sukni.

Wreszcie uspokoiła się. Maigret powtórzył:

— Niech pani nie robi hałasu! Jestem z policji. Nie ma sensu budzić całego domu.

Ta zbrodnia miała w sobie coś niesamowitego — cisza niespotykana w podobnych wypadkach, spokój. Dwudziestu ośmiu lokatorów kontynuowało normalne życie w bezpośrednim sąsiedztwie zwłok.

Młoda kobieta poprawiła toaletę.

— Pani była jego kochanką?

Obrzuciła Maigreta kąśliwym spojrzeniem, szukając jednocześnie szpilki, żeby umocować podarte ramiączko.

— Była z nim pani umówiona na dziś wieczór?

— O ósmej, w Selekcie. Mieliśmy zjeść razem kolację, a potem pójść do teatru.

— Nie dzwoniła pani, kiedy nie przyszedł na ósmą?

— Owszem, ale powiedziano mi, że telefon rozłączony.

Oboje jednocześnie zauważyli aparat stojący na biurku. Nieboszczyk widocznie przewrócił go, padając przed siebie.

Kroki na podwórzu, gdzie najcichsze dźwięki dziś rozbrzmiewały z podwójną siłą. Dozorczyni wołała od progu, nie chcąc wchodzić i patrzeć na trupa:

— Panie komisarzu! Przyszli ci z komisariatu...

Nie darzyła ich sympatią. Było ich czterech czy pięciu, wcale nie starali się nie zwracać na siebie uwagi. Jeden właśnie kończył opowiadać jakąś zabawną historyjkę. Drugi wchodząc do biura zapytał:

— Gdzie denat?

Naczelnika komisariatu dzielnicowego nie było, zastępował go sekretarz, więc Maigret czuł się swobodniejszy, zatrzymując w swym ręku kierownictwo akcji.

— Zostawcie swoich ludzi na zewnątrz. Czekam na sędziego śledczego. Lepiej, żeby lokatorzy niczego się nie domyślali.

A kiedy sekretarz lustrował biuro, zwrócił się ponownie do młodej kobiety:

— Jak się pani nazywa?

— Nina... Nina Moirard, ale wszyscy mówią na mnie Nina.

— Od dawna zna pani Coucheta?

— Ze sześć miesięcy...

Nie musiał zadawać wielu pytań, wystarczyło się przyjrzeć. Niebrzydka dziewczyna, jeszcze początkująca. Toaleta z dobrej firmy. Ale sposób malowania się, trzymania torebki i rękawiczek, agresywnego patrzenia na ludzi, zdradzały kulisy kabaretu.

— Tancerka?

— Występowałam w Moulin-Bleu...

— A teraz?

— Jestem z nim...

Nie miała jeszcze czasu płakać. Wszystko rozegrało się zbyt szybko, nie zdawała sobie jeszcze jasno sprawy z rzeczywistości.

— Mieszkał z panią?

— Niezupełnie, bo był żonaty. Ale właściwie...

— Pani adres?

— Hotel Pigalle. Na ulicy Pigalle...

Sekretarz komisariatu wtrącił:

— W każdym razie nikt nie powie, że to kradzież.

— Dlaczego?

— Niech pan spojrzy! Kasa pancerna jest za nim. Nie jest zamknięta na klucz, ale plecy zmarłego nie pozwalają otworzyć drzwi.

Nina, która z torebki wyciągnęła maleńką chusteczkę, chlipnęła i przyłożyła ją do nosa.

W chwilę potem atmosfera uległa zmianie. Rozległ się zgrzyt hamulców samochodu na ulicy, kroki i głosy na podwórzu. Potem uściski dłoni, pytania, głośnie pogwarki. Przyjechał sędzia śledczy. Lekarz sądowy badał zwłoki, a fotografowie ustawiali kamery.

Maigret nie lubił takich momentów. Wymienił z nowo przybyłymi parę koniecznych zdań, a potem z rękoma w kieszeni wyszedł na podwórze i zapalił fajkę. W ciemności natknął się na kogoś. To dozorczyńni, która nie mogła pogodzić się z myślą, że nieznajomi kręcą się po kamienicy, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

— Jak się pani nazywa? — dobrodusznie zapytał Maigret.

— Bourcier... Ci panowie długo tu zostaną? Niech pan spojrzy, w pokoju pani de Saint-Marc zgasło światło. Pewnie się zdrzemnęła, biedaczka...

Lustrując dom, komisarz zauważył inne światło: kremową firankę, a za nią sylwetkę kobiecą. Mała i chuda, jak dozorczyńni. Jej głosu nie było słyhać. Ale można się było domyślić, że jest w trakcie robienia komuś awantury. Przez jakiś czas stała absolutnie bez ruchu, wpatrując się w kogoś niewidocznego. Potem nagle zaczęła mówić, gestykulować, zrobiła parę kroków przed siebie.

— Kto to?

— Pani Martin. Przed chwilą widział pan jej męża, kiedy wracał do domu. Wie pan, to ten, co zabrał kubek na śmiecie. Ten urzędnik...

— Często się kłóca?

— Oni się nie kłóca. To tylko ona krzyczy. On nie ma odwagi nawet ust otworzyć...

Od czasu do czasu Maigret rzucał okiem na biuro, gdzie teraz kotłowało się chyba z tuzin ludzi. Sędzia śledczy od progu zawołał dozorczyńnię.

— Kto tu kierował, prócz pana Coucheta?

— Dyrektor Philippe. Mieszka niedaleko, na Wyspie św. Ludwika.

— Ma telefon?

— Oczywiście.

Słyhać było, jak rozmawia przez telefon. Na górze pani Martin nie odcinała się już na tle firanki. Natomiast ktoś schodził po schodach, ukradkowymi krokami przeciął podwórze i wyszedł na ulicę. Maigret rozpoznał melonik i jasnobezowy płaszcz pana Martina.

Północ. Dziewczyzny z gramofonem zgasiły już światło. Oprócz biura oświetlony był jeszcze tylko salon państwa de Saint-Marc, gdzie były ambasador i położna rozmawiali półgłosem w mdłym, szpitalnym zaduchu.

Dyrektor Philippe mimo późnej godziny pojawił się zapięty na ostatni guzik, broda gładko zaczesana, szare zamszowe rękawiczki. Mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, uosobienie poważnego i dobrze wychowanego intelektualisty.

Oczywiście, ta wiadomość go zaskoczyła, nawet nim wstrząsnęła. Ale nawet jego poruszenie było jak gdyby skrępowane.

— Przy takim trybie życia... — westchnął.

— Jakim?

— Nigdy nic złego o panu Couchet nie powiem. Zresztą nie ma powodów. Ostatecznie był panem swego życia...

— Chwileczkę! Czy pan Couchet sam kierował firmą?

— Ani trochę! To on ją wylansował, ale kiedy interes się rozkręcił, przekazał mi całą odpowiedzialność. Bywało, że nie widywałem go nawet po dwa tygodnie. O proszę, nawet dziś czekałem na niego do piątej. Jutro mamy wypłatę. Pan Couchet miał przynieść pieniądze. Około trzystu tysięcy franków. O piątej musiałem wyjść, zostawiłem mu raport na biurku.

Raport, napisany na maszynie, leżał pod ręką nieboszczyka. Nic ważnego: propozycja podwyżki dla jednego pracownika i zwolnienia jednego dostawcy, projekty reklamy w krajach Ameryki Łacińskiej itp.

— To znaczy, że tu powinno być trzysta tysięcy franków? — zapytał Maigret.

— W kasie. Najlepszy dowód, że pan Couchet ją otworzył. Tylko my dwaj, on i ja, mamy klucze i znamy szyfr.

Żeby otworzyć kasę, trzeba było unieść zwłoki, czekali więc, aż fotografowie skończą. Lekarz sądowy składał ustne sprawozdanie. Couchet został trafiony w pierś, pocisk przebił aortę, śmierć musiała nastąpić błyskawicznie. Odległość między zabójcą a ofiarą mogła wynosić około trzech metrów. Pocisk był najczęściej spotykanego kalibru: 6,35 mm.

Philippe udzielał wyjaśnień sędziemu śledczemu.

— Tu, na placu des Vosges, mamy tylko laboratoria, które mieszczą się na zapleczu biura...

Otworzył drzwi. Widać było przestronną halę o oszklonym dachu, na stołach tysiące próbek. Maigretowi zdawało się, że zza następnych drzwi słyszy jakieś odgłosy.

— A tam?

— Świnki morskie. Tu, na prawo, są pokoje maszynistek i urzędników. W Pantin mamy inne pomieszczenia, stamtąd wysyła się większość transportów, gdyż, jak panom zapewne wiadomo, szczepionki doktora Rivière znane są na całym świecie.

— To Couchet je wylansował?

— Tak! Doktor Rivière nie miał pieniędzy. Couchet sfinansował jego badania. Jakies dwanaście lat temu założył pracownię, która wówczas nie odgrywała jeszcze takiej roli, jak dziś.

— Doktor Rivière jest nadal współnikiem?

— Zginął jakieś pięć lat temu, w wypadku samochodowym.

Wreszcie uniesiono zwłoki, a kiedy otwarto kasę, rozległy się okrzyki zdumienia: pieniądze, które powinny się były w niej znajdować, znikły bez śladu! Pozostały tylko dokumenty. Philippe wyjaśniał:

— Nie tylko trzysta tysięcy franków, które pan Couchet na pewno przyniósł ze sobą, ale jeszcze sześćdziesiąt tysięcy, które zainkasowaliśmy dziś po południu. Ja sam wkładałem je do kasy, w banknotach związanych gumką! Portfel zmarłego był pusty, jeśli nie liczyć dwóch numerowanych biletów wstępu do teatru Madeleine.

Na ich widok Nina zaczęła szlochać.

— To dla nas... Mieliśmy pójść razem...

Zbliżał się koniec, bałagan rósł. Fotografowie składali nieporęczne statywy kamer, lekarz sądowy mył ręce przy kranie, który znalazł w jednej z szaf wbudowanych w ścianę, a kancelista sędziego śledczego nie próbował nawet ukryć zmęczenia.

Ale jednak przez kilka chwil, mimo całego poruszenia, Maigret jak gdyby spotkał się oko w oko z nieboszczykiem.

Był to mężczyzna krzepki, raczej niewysoki, tęgawy. Mimo doskonale skrojonego garnituru, wypielęgnowanych rąk, jedwabnej bielizny szytej na miarę, nigdy chyba, tak samo jak Nina, nie wyzbył się pewnego prostactwa.

Rzadkie włosy blond. Oczy chyba błękitne, o nieco dziecinnym wyrazie.

— Równy gość! — westchnął ktoś za nim.

To Nina płakała ze wzruszenia, a nie mając śmiałości zwracać się do bardziej dostojnych osób z prokuratury, brała Maigreta na świadka.

— Przysięgam panu, że to był równy gość! Wystarczyło by pomyślał, że coś mi sprawi przyjemność... I nie tylko mnie... Każdemu... Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szastał napiwkami. Czasem nawet besztalam go, mówiłam, że go będą mieli za frajera. Ale on zawsze odpowiadał: „A co mnie to może obchodzić?”

Komisarz zapytał z powagą:

— Był wesół?

— Raczej tak... Ale wesół w głębi serca... Rozumie mnie pan? To trudno wytłumaczyć. Musiał zawsze być w ruchu, coś robić... Kiedy siedział beczynnie, stawał się ponury albo niespokojny.

— A żona?

— Tylko raz ją widziałam, z daleka. Nic złego nie mogę o niej powiedzieć.

— Gdzie Couchet mieszkał?

— Przy bulwarze Haussmanna. Ale najczęściej bywał w Meulan, gdzie miał willę.

Maigret żywo odwrócił głowę, dostrzegł dozorczynię, która ciągle nie miała śmiałości wejść do środka i dawała mu znaki ręką, ukazując twarz bardziej jeszcze niż zazwyczaj nieszczęśliwą.

— Niech pan posłucha! On schodzi...

— Kto?

— Pan de Saint-Marc. Pewnie usłyszał ten cały hałas. To właśnie on! Pomyśleć tylko, w taki dzień...

Były ambasador, ubrany w szlafrok, wahał się, czy wejść. Musiał domyślać się przyczyn przybycia sędziego śledczego. Zresztą po chwili przeniesiono obok niego zwłoki na noszach.

— Co się stało? — zapytał Maigreta.

— Zabito człowieka... To Couchet, właściciel pracowni szczepionek.

Komisarz odniósł wrażenie, że jego rozmówcy coś nagle przyszło do głowy, jak gdyby o czymś sobie przypomniał.

— Pan go znał?

— Nie. To znaczy, słyszałem o nim...

— I co?

— Nic! Nic nie wiem... O której godzinie to... to...

— Zbrodnię popełniono zapewne między ósmą a dziewiątą.

Pan de Saint-Marc westchnął, przyglądał szpakowate włosy, skinął Maigretowi głową i skierował się ku schodom, wiodącym do jego mieszkania.

Dozorczyni trzymała się na uboczu. Potem podeszła do kogoś, kto pochylony do przodu kręcił się tam i z powrotem pod sklepieniem bramy. Kiedy wróciła, komisarz zapytał:

— Kto to?

— Pan Martin. Szuka zgubionej rękawiczki... Musi pan wiedzieć, że nigdy nie wychodzi bez rękawiczek, nawet po papierosy, pięćdziesiąt metrów od domu.

Teraz Martin myszkował koło śmietnika, podnosił jakieś szmaty, wreszcie zdecydował się wrócić do siebie, na górę.

W podwórzu wymieniano pożegnalne uściski dłoni. Pracownicy prokuratury odchodzili, sędzia śledczy odbył krótką rozmowę z Maigretem.

— Nie chcę panu przeszkadzać w pracy. Będzie mnie pan oczywiście informował na bieżąco...

Dyrektor Philippe, zawsze poprawny, jakby wycięty z magazynu mód, skłonił się komisarzowi.

— Nie będę panu dłużej potrzebny?

— Zobaczymy się jutro. Przypuszczam, że będzie pan w biurze?

— jak zwykle. Punktualnie o dziewiątej...

Nagle nastąpiła wzruszająca chwila, choć właściwie nic się nie wydarzyło. Podwórze nadal pogrążone było w mroku. Paliła się tylko jedna lampa. I zakurzona żarówka w bramie.

Na ulicy ruszały samochody, ślizgając się po asfalcie, reflektorami oświetlając na mgnienie oka drzewa przy placu des Vosges.

Zwłok już nie było. Gabinet wyglądał jak po przejściu nawałnicy. Nikt nie pomyślał o wygaszeniu świateł, więc laboratorium było oświetlone, jak przy wyętej pracy nocnej.

I tak zostali we trójkę, pośrodku podwórka. Trzy istoty zupełnie do siebie niepodobne, które jeszcze przed godziną nawet się nie znały, a teraz wydawało się, że połączone są jakimiś tajemniczymi więzami pokrewieństwa.

Więcej jeszcze: wyglądali jak członkowie rodziny, którzy po pogrzebie, gdy rozejdą się przygodni znajomi, pozostają sami we własnym gronie!

Ale była to tylko przelotna refleksja Maigreta, kiedy tak kolejno spoglądał na umęczoną twarz Niny i na wychudłe rysy dozorczyń.

— Ułożyła pani dzieci do snu?

— Tak, ale nie śpią... Są niespokojne, jak gdyby coś przeczuwały...

Pani Bourcier chciała zadać jedno pytanie, którego trochę się wstydziła, ale dla niej miało kapitalne znaczenie.

— Czy pan sądzi...

Wzrokiem potoczyła po podwórzu, jak gdyby zatrzymując się na wygaszonych oknach.

— ... że... że to ktoś z naszego domu?

Teraz wbiła oczy w bramę, w tę rozległą sień, o drzwiach zawsze otwartych aż do jedenastej wieczór, łączącą podwórze z ulicą, pozwalającą byle nieznanemu z zewnątrz na dostęp do kamienicy.

Nina ze swej strony przybrała nienaturalną pozę i od czasu do czasu obrzucała komisarza ukradkowym spojrzeniem.

— Dochodzenie z pewnością odpowie na to pytanie, pani Bourcier. Na razie jedno tylko zdaje się pewne: kto inny skradł trzysta sześćdziesiąt tysięcy franków, a kto inny zamordował. Tak mi się przynajmniej wydaje, skoro pan Couchet własnymi plecami zatrzasnął drzwi kasy. A propos, czy dziś wieczorem w laboratorium światło się paliło?

— Zaraz! Tak, chyba tak... Ale nie tyle co teraz. Pan Couchet pewnie zapalił lampę lub dwie, żeby pójść do toalety, na samym końcu pomieszczenia...

Maigret pofatygował się, żeby pogasić wszystkie światła, bo dozorczyń, mimo że zwłok już w pokoju nie było, nie chciała ruszyć się od progu. Na podwórzu komisarz znów natknął się na czekającą Ninę. Gdzieś nad głową usłyszał jakiś szmer, zgrzyt przedmiotu ocierającego się o szkło.

Ale wszystkie okna były zamknięte, wszystkie światła pogaszone.

Ktoś się poruszył, ktoś kto czuwał w mrocznym pokoju.

— Do jutra, pani Bourcier. Przyjdę rano, przed otwarciem biur.

— Idę z panem! Muszę zamknąć bramę wjazdową.

Na chodniku Nina zauważyła:

— Zdawało mi się, że pan ma samochód...

Postanowiła nie opuszczać go. Patrząc na ziemię, dorzuciła:

— W jakich pan mieszka stronach?

— Dwa kroki stąd, na bulwarze Richard–Lenoir.

— Metro już nie chodzi, prawda?

— Chyba nie.

— Chciałam coś panu powiedzieć...

— Słucham.

Ciągle nie miała śmiałości spojrzeć mu w twarz. Słysząc było, jak dozorczyńni zaciąga za nimi zasuwę, potem jej kroki kiedy wracała na portiernię. Na placu nie było żywej duszy. Fontanny szumiały, zegar na merostwie wybił pierwszą.

— Może uzna pan, że nadużywam... Nie wiem, co pan sobie pomyśli... Już mówiłam, że Raymond był bardzo hojny, nie znał wartości pieniądza. Dawał mi wszystko, co chciałam. Pan mnie rozumie?

— I co?

— To śmieszne... Prosiłam jak najmniej, czekałam żeby sam o tym pomyślał... Zresztą był prawie zawsze przy mnie, więc niczego nie potrzebowałam. Dziś mieliśmy być na kolacji... No i tak...

— Spłukana?

— Nie o to chodzi! — zachnęła się — to głupia historia! Miałam go dziś prosić o pieniądze. W południe zapłaciłam rachunek...

Widać było, że się męczy. Bacznie przyglądała się Maigretowi, gotowa wycofać się przy najbliższym uśmiechu.

— Nie przyszło mi do głowy, że mógłby nie przyjść... Miałam jeszcze w torebce parę groszy. Czekając na niego w Selekcie, zamówiłam ostrygi, potem langustę... Telefonowałam... Dopiero po przyjeździe zorientowałam się, że zostało mi tylko tyle, że ledwie zapłaciłam za taksówkę.

— A w domu?

— Mieszkam w hotelu.

— Pytałem, czy pani ma jakieś odłożone oszczędności?

— Ja?

Krótki, nerwowy śmiech.

— Po co? Czy mogłam przewidzieć? A zresztą, gdybym nawet wiedziała, to i tak nie chciałabym...

Maigret westchnął.

— Niech pani podejdzie ze mną do bulwaru Beaumarchais. O tej porze tylko tam będzie pani mogła znaleźć taksówkę. Co ma pani zamiar robić?

— Nic... ja...

Ale mimo to wzdrygnęła się, jakby nękana dreszczem. No tak, miała na sobie tylko jedwabną sukienkę.

— Testamentu nie sporządził?

— A skąd ja miałabym o tym wiedzieć? Czy pan myśli, że ktoś się nad tym zastanawia, kiedy wszystko jest w porządku? Raymond był równy gość... ja...

Idąc, nie przestawała płakać, cichutko, bez hałasu. Komisarz wsunął jej w rękę stufrankowy banknot, skinął na przejeżdżającą taksówkę i z rękoma w kieszeni bąknął:

— Do jutra... Zdaje się, że mówiła mi pani, że mieszka w hotelu Pigalle?

Kiedy kładł się spać, pani Maigret obudziła się po to tylko, by na wpół przytomnie wymamrotać:

— A kolację przynajmniej jadłeś?

III. DWOJE Z PLACU PIGALLE

Wychodząc z domu około ósmej rano, Maigret miał do wyboru trzy pociągnięcia; wszystkie trzy musiał wykonać jeszcze tego samego dnia: ponownie obejrzeć pomieszczenia przy placu des Vosges i przesłuchać personel, złożyć wizytę pani Couchet, którą komisariat dzielnicowy z pewnością już o wszystkim powiadomił, wreszcie jeszcze raz przesłuchać Ninę.

Zaraz po przebudzeniu przedzwonił na centralę policji kryminalnej listę lokatorów domu, a także nazwiska wszystkich osób mniej lub bardziej zamieszanych w tę sprawę; kiedy wpadnie do siebie do biura, czekać już będą szczegółowe informacje.

Na bulwarze Richard-Lenoir panował już normalny ruch. Było tak zimno, że komisarz postawił aksamitny kołnierz płaszcza. Plac des Vosges był blisko, ale trzeba tam było iść piechotą.

W tym momencie nadjechał autobus w kierunku placu Pigalle i to rozstrzygnęło wątpliwości Maigreta. Najpierw zobaczy się z Niną.

Ona, rzecz jasna, jeszcze nie wstała. W recepcji hotelowej rozpoznano go i zapanował niepokój.

— Chyba się nie wplątała w jakąś głupią historię? Taka spokojna dziewczyna!

— Często przyjmuje gości?

— Tylko swego przyjaciela.

— Starego czy młodego?

— Ma tylko jednego. Ani stary, ani młody...

Hotel był wygodny, z windą i telefonami w pokojach. Maigret wysiadł na trzecim piętrze i zapukał pod numer 27. Usłyszał jak coś się na łóżku porusza, a potem stłumiony głos:

— Kto tam?

— Proszę otworzyć, Nino!

Najwidoczniej ręka wysunęła się spod kołdry i dosięgła zatrasku. Maigret wszedł w wilgotny półmrok, dojrzał skwaszoną twarz młodej kobiety, podszedł do okna i odciągnął story.

— Która godzina?

— Jeszcze nie ma dziewiątej. Niech się pani nie fatyguje.

Przymknęła oczy, oślepienie jaskrawym światłem dnia. Wcale teraz nie była ładna, wyglądała raczej na małą wiejską dziewczynkę, niż na zalotnicę. Dwa czy trzy razy przetarła dłonią twarz, wreszcie siadła na łóżku, podpierając się poduszką. Potem podniosła słuchawkę telefonu.

— Proszę mi przysłać śniadanie!

A zwracając się do Maigreta, dodała:

— Co za historia! Nie ma mi pan chyba za złe, że wczoraj pana naciągnęłam? Idiotyczna sprawa, będę musiała sprzedać biżuterię...

— Dużo jej pani ma?

Wskazała ręką na toaletkę, gdzie w reklamowej popielniczce leżało kilka pierścionków, bransoletka, zegarek. Wszystko razem warte było może pięć tysięcy franków.

Ktoś pukał do drzwi sąsiedniego pokoju. Nina nadstawiła uszu, a gdy rozległo się ponowne, natarczywe pukanie, próbowała się nieobowiązująco uśmiechnąć.

— A to kto? — zapytał Maigret.

— Moi sąsiedzi? Nie mam pojęcia! Ale wątpię, czy uda się ich o tej porze obudzić...

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Nic! Nigdy nie wstają przed czwartą po południu, jeśli w ogóle wstają!

— Narkotyki?

Potwierdziła ruchem powiek, ale pośpiesznie dodała:

— Pan chyba nie zrobi użytku z tego co mówię, prawda?

Wreszcie ktoś tam otworzył drzwi. Do Niny pokojówka wniosła na tacy kawę z mlekiem i rogaliki.

— Pan pozwoli?

Oczy miała podkrążone, przez nocną koszulę przeświecały wychudzone ramiona i małe, niezbyt jędrne piersi słabo rozwiniętego podlotka. Maczając kawałki rogalika w kawie, nie przestawała nasłuchiwać, najwidoczniej ciekawiło ją to, co się działo za ścianą.

— Czy będę wplątana w tę historię? — zapytała wreszcie. — Głupio byłoby, gdyby o mnie pisano w prasie! Zwłaszcza przez wzgląd na panią Couchet...

A ponieważ właśnie zapukano do jej drzwi, lekko ale szybko, raz po raz, zawołała:

— Proszę!

Pokazała się kobieta lat około trzydziestu, w futrzanym płaszczu zarzuconym na nocną koszulę, o bosych nogach. Na widok szerokich barów Maigreta chciała się wycofać, potem nabrała odwagi i wyjąkała:

— Nie wiedziałam, że masz gościa...

Komisarz wzdrygnął się na dźwięk tego bezbarwnego głosu, sprawiającego wrażenie, jak gdyby z trudem wydobywał się z obłożonych ust. Przyjrzał się kobiecie, która właśnie zamykała drzwi. Zobaczył twarz bladą, opuchnięte powieki. Rzut oka na Ninę potwierdził jego podejrzenia. To była z pewnością sąsiadka–narkomanka.

— Co się stało?

— Nic! Roger ma gościa. Więc... pozwoliłam sobie...

Otępiała, siadła w nogach łóżka, westchnęła jak przedtem Nina:

— Która to godzina?

— Dziewiąta — odpowiedział Maigret. — Coś mi się zdaje, że kokaina pani nie służy!

— To nie kokaina... Eter. Roger mówi, że to lepsze i że...

Było jej zimno. Podeszła do kaloryfera, przytuliła się, wyjrzała na dwór.

— Znów będzie deszcz...

Wszystko było ponure, zniechęcające, na toalecie grzebień, pełny wyleniałych włosów. Pończochy Niny rozrzucone na podłodze.

— Przeszkadzam, prawda? Ale to podobno jakaś ważna sprawa... chodzi o ojca Rogera, który nie żyje.

Maigret spojrział na Ninę i zauważył, że nagle zmarszczyła brwi, jak ktoś, komu nagła myśl przyszła do głowy. W tej samej chwili sąsiadka uniosła rękę do podbródka, zamyśliła się, wymamrotała:

— No, no... Komisarz zapytał:

— Zna pani ojca Rogera?

— Nigdy go nie widziałam. Ale... Chwileczkę! Powiedz, Nino, czy twojemu przyjacielowi nic się nie stało?

Nina i komisarz wymienili spojrzenia.

— Dlaczego?

— Sama nie wiem... Wszystko mi się płacze. Przypomniałam sobie ni stąd ni zowąd, że Roger powiedział mi kiedyś, że jego ojciec bywa tu, w hotelu. To go nawet rozśmieszyło... Ale wolał się z nim nie spotkać i ilekroć ktoś wchodził po schodach, szybko chował się do pokoju. Coś mi się wydaje, że ta osoba wchodziła do ciebie...

Nina przestała już jeść. Taca, którą trzymała na kolanach, przeszkadzała jej, twarz zdradzała niepokój.

— Jego syn? — mówiła powoli, z wzrokiem utkwionym w niebieskim prostokacie okna.

— To ci heca! — zawołała sąsiadka. — To znaczy, że twój przyjaciel nie żyje... Podobno chodzi o zabójstwo?

— Roger Couchet... No tak...

Zaniepokojeni, milczeli wszyscy troje.

— A on co robi? — zapytał komisarz po długiej minucie ciszy, przerywanej tylko mamrotaniem dochodzącym z sąsiedniego pokoju.

— Nie rozumiem?

— Ma jakiś zawód?

Młoda kobieta nagle się ożywiła:

— Pan jest z policji, prawda?

Była niespokojna. Może będzie miała za złe Ninie, że ją wciągnęła w zasadzkę?

— Komisarz jest bardzo miły — powiedziała Nina, wysuwając nogę z łóżka i pochylając się po pończochy.

— Powinam się była domyśleć! Więc pan już przedtem wiedział, że... że ja przyjdę...

— Nigdy nawet nie słyszałem o Rogerze! — powiedział Maigret. — Ale teraz musi mi pani udzielić o nim informacji...

— Ja nic nie wiem! Jesteśmy razem raptem od trzech tygodni!

— A przedtem?

— Miał taką dużą, rudą, która podaje się za manikiurzystkę.

— Pracuje?

To słowo wystarczyło, by jej zakłopotanie wzrosło.

— Nie wiem...!

— Inaczej mówiąc, nie robi nic! Ma majątek? Żyje na szerokiej stopie?

— Wcale nie! Jadamy prawie zawsze w jadalniach za sześć franków.

— Często wspominał o ojcu?

— Tylko raz jeden, jak już mówiłam...

— Może mi pani opisać jego gościa? Znała go pani?

— Nie! To mężczyzna... Jakby to powiedzieć? Wzięłam go za komornika, a idąc tu, myślałam, że chodzi o jakieś długi Rogera.

— Dobrze ubrany?

— Chwileczkę... Widziałam melonik, beżowy płaszcz, rękawiczki...

Między obu pokojami były wewnętrzne drzwi, ukryte za kotarą i prawdopodobnie zaryglowane. Maigret mógł przyłożyć ucho i wszystko słyszeć, ale krępował się obecnością obu kobiet.

Nina ubierała się, poprzestając, jeśli idzie o poranną toaletę, na otarciu twarzy wilgotnym ręcznikiem. Była zdenerwowana, ruchy miała urywane. Czuło się, że te wydarzenia ją przerastały, że teraz spodziewa się wszystkiego najgorszego, że nie czuje się na siłach nie tylko przeciwdziałać, ale nawet zrozumieć.

Sąsiadka była spokojniejsza, może dlatego, że znajdowała się jeszcze pod wpływem eteru, a może miała większe doświadczenie w tego rodzaju sprawach.

— Jak się pani nazywa?

— Celina.

— Ma pani zawód?

— Byłam fryzjerką.

— Rejestrowana w policji obyczajowej?

Pokręciła przecząco głową, ale się nie oburzyła. Zza ściany dochodziły ciągle odgłosy przyciszonej rozmowy.

Nina nałożyła sukienkę, rozejrzała się po pokoju i nagle wybuchnęła płaczem:

— Mój Boże! Mój Boże!

— Dziwna historia! — powiedziała cedząc słowa Celina. — Jeżeli to naprawdę było zabójstwo, będziemy miały kupę kłopotów...

— Gdzie pani była wczoraj o ósmej wieczór? Zastanowiła się.

— Zaraz! O ósmej?... No tak, byłam w Cyrano.

— W towarzystwie Rogera?

— Nie. Ostatecznie nie można być wiecznie razem... Spotkałam się z nim o północy, w sklepie tytoniowym przy ulicy Fontaine.

— Mówił skąd wraca?

— Ja się o nic nie pytałam.

Maigret spoglądał przez okno na plac Pigalle, na mini-skwarek, na reklamy nocnych lokali. Nagle poderwał się i ruszył ku drzwiom.

— Czekaście tu obie na mnie!

Wyszedł, zapukał do sąsiednich drzwi i nie czekając nacisnął klamkę.

Jeden z mężczyzn, w piżamie, siedział w jedynym fotelu w pokoju, gdzie mimo otwartego okna panował odurzający zapach eteru. Drugi przechadzał się gestykulując. Był to Martin, którego Maigret dwukrotnie spotkał poprzedniego wieczora na podwórzu kamienicy przy placu des Vosges.

*

— No i odnalazła się rękawiczka!

Maigret przyglądał się obu dłoniom urzędnika państwowego biura notarialnego, który tak pobladł, że przez chwilę komisarz sądził, iż zemdleje. Wargi mu dygotały. Próbował odpowiedzieć, ale mu się to nie udawało.

— Ja... ja...

Młody człowiek był nieogolony. Cerę miał papierowo bladą, oczy podkrążone i zaczerwienione, miękkie wargi, zdradzające słabość charakteru. Zajęty był łapczywym piciem wody ze szklanki do mycia zębów.

— Niech się pan opanuje, panie Martin! Nie spodziewałem się pana tu zastać, zwłaszcza w porze, gdy pańskie biuro jest już z pewnością od dawna otwarte.

Lustrował go od stóp do głów. Nieszczęśnik był tak oczywiście zmieszany, że komisarz musiał z wysiłkiem powstrzymać się od uczucia litości.

Poczynając od obuwia a kończąc na krawacie, zawiązanym na celuloidowym kołnierzyku, Martin był klasycznym typem urzędnika państwowego z karykatury. Urzędnika schludnego i godnego, o wypomadowanych wąsikach, bez źdźbła kurzu na ubraniu, który z pewnością uważałby, że chodzenie z gołymi rękoma uwłacza jego godności.

Teraz nie wiedział co począć z tymi rękami. Wzrokiem obmiatał kąty nie posprzątanego pokoju, jak gdyby tam szukając natchnienia.

— Pozwoli pan, że zadam panu jedno pytanie, panie Martin. Od jak dawna zna pan Rogera Coucheta?

To już nie był strach. To było osłupienie.

— Ja?

— Tak, pan.

— Ależ... od... od mojego ślubu!

Mówił, jak gdyby to było samo przez się zrozumiałe.

— Nie rozumiem!

— Roger jest moim pasierbem. Synem mojej żony,

— I Raymonda Coucheta?

— Oczywiście! Przecież... Znów nabierał pewności siebie.

— Moja żona była pierwszą żoną Coucheta. Miała jedyne syna, Rogera. Kiedy się rozwiodła, wyszła za mnie.

Maigret odniósł wrażenie, jak gdyby nagły podmuch wiatru omiótł pokryte chmurami niebo. Dom przy placu des Vosges przeobraził się radykalnie. Zmienił się charakter zaszłych

tam wydarzeń. Pewne sprawy stały się jaśniejsze. Inne na odwrót — bardziej kłopotliwe, bardziej niepokojące.

I to do tego stopnia, że komisarz nie odważył się zabrać głosu! Musiał najpierw uporządkować myśli. Z rosnącym zaniepokojeniem przyglądał się kolejno obu mężczyznom.

Jeszcze poprzedniego wieczora dozorczyń, spoglądając na wszystkie okna wychodzące na podwórze, zapytała go: „Czy pan sądzi, że to ktoś z naszego domu?” I wzrok wbiła w bramę. Miała nadzieję, że zabójca wszedł tamtędy, że był kimś z zewnątrz.

A więc nic z tego! Dramat rozegrał się w samym domu! Maigret nie umiałby powiedzieć dlaczego, ale teraz był tego absolutnie pewien.

Jaki dramat? Nie miał pojęcia!

Czuł tylko niewidoczne napięte nici, łączące punkty tak od siebie odległe, przebiegające od placu des Vosges aż po ten hotelik przy ulicy Pigalle, od mieszkania Martinów aż po wytwórnię szczepionek doktora Rivière, od pokoju Niny aż po tę parę odurzonych eterem kochanków.

Najbardziej może niepokojący był widok Martina, kręcącego się w tym labiryncie jak nieprzytomna fryga. Ciągle jeszcze był w rękawiczkach. Jasnobezowy płaszcz sam w sobie wystarczał za cały program życia zacnego i uporządkowanego. A niespokojny wzrok daremnie szukał punktu oparcia.

— Przyszedłem zawiadomić Rogera... — wymamrotał.

— Jasne!

Maigret spokojnie spojrzał mu głęboko w oczy, jak gdyby spodziewał się, że jego rozmówca skurczy się ze strachu.

— Żona powiedziała mi właśnie, że byłoby lepiej, gdybyśmy my...

— Rozumiem!

— Roger jest bardzo...

— Bardzo wrażliwy! — dokończył Maigret. — Nerwowy chłopak!

Młody człowiek, który właśnie pił trzecią szklankę wody, obrzucił go wzrokiem pełnym nienawiści. Miał chyba ze dwadzieścia pięć lat, ale rysy zdradzały zmęczenie, powieki przywiodły. Mimo to był nadał przystojny, odznaczał się urodą atrakcyjną dla określonego gatunku kobiet. Cerę miał matową, ale jego zmęczona, nieco zde gustowana mina miała w sobie coś romantycznego.

— Niech mi pan powie, często pan widywał ojca?

— Czasami!

— Gdzie?

Maigret przyglądał mu się surowo.

— U niego w gabinecie. Albo w restauracji...

— Kiedy widział się pan z nim po raz ostatni?

— Nie wiem. Parę tygodni temu...

— Prosił pan o pieniądze?

— Jak zawsze!

— W sumie utrzymywał się pan dzięki jego wsparciu?

— Był na to dostatecznie bogaty...

— Chwileczkę! Gdzie pan był wczoraj, około ósmej wieczór?

Odpowiedź padła bez cienia wahania:

— W Selekcie! — powiedział z ironicznym uśmiechem, który miał znaczyć „Czy pan sobie wyobraża, że nie wiem o co panu chodzi?”

— Co pan robił w Selekcie?

— Czekałem na ojca!

— To znaczy, że potrzebował pan pieniędzy! I pan wiedział, że on przyjdzie do Selektu...

— Bywał tam prawie co wieczór, z tą swoją dziwką! Zresztą po południu słyszałem, jak się umawiała przez telefon. Tu słyhać wszystko, co się mówi za ścianą...

— A kiedy się pan przekonał, że ojciec nie przyjdzie, nie przyszło panu do głowy pójść do jego biura przy placu des Vosges?

— Nie!

Maigret wziął z kominka zdjęcie młodego człowieka, otoczone kilkoma portretami kobiet. Wkładając je do kieszeni, zapytał.

— Pan pozwoli?

— Jeśli to panu sprawia przyjemność!

— Chyba pan nie przypuszcza...? — zaczął Martin.

— Nic nie przypuszczam. Ale przypomniałem sobie, że mam panu zadać kilka pytań. Jakie były stosunki między panem i pańską żoną, a Rogerem?

— Nie często nas odwiedzał.

— A kiedy przychodził?

— Wpadał tylko na kilka minut...

— Matka wiedziała, jaki tryb życia prowadzi?

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— Niech pan nie udaje głupiego, panie Martin! Czy pańska żona wiedziała, że jej syn mieszka na Montmartrze, nic nie robiąc?

Urzędnik, zażenowany, wbił wzrok w ziemię.

— Często próbowałem namówić go do podjęcia pracy! — westchnął.

Tym razem młody człowiek zaczął niecierpliwie bębnić palcami po stole.

— Chciałem zwrócić panu uwagę, że jestem jeszcze w piżamie i że...

— Może mi pan powie, czy widział pan wczoraj w Selekcje kogoś znajomego?

— Widziałem Ninę!

— Rozmawiał pan z nią?

— Wypraszam sobie! Nigdy w życiu nie zamieniłem z nią słowa!

— W którym siedziała miejscu?

— Drugi stolik, na prawo od baru.

— Gdzie pan odnalazł rękawiczkę, panie Martin? Jeśli dobrze pamiętam, szukał jej pan wieczorem na podwórzu koło śmietnika...

Martin z trudem wydusił z siebie uśmiech.

— Była w domu!... Niech pan sobie wyobrazi, że wyszedłem w jednej tylko rękawiczce i nawet się nie zorientowałem.

— Dokąd pan poszedł z placu des Vosges?

— Spacerowałem... Po nabrzeżach... Ja... Miałem ból głowy.

— Często spaceruje pan wieczorami bez żony?

— Czasami!

Cierpiał katusze. I ciągle nie wiedział co zrobić z rękoma w rękawiczkach.

— Teraz idzie pan do biura?

— Nie! Dzwoniłem, prosząc o zwolnienie. Nie mogę zostawić żony w...

— No to niech pan do niej wraca!

Maigret zostawał. Poczciwiec szukał teraz sposobu przyzwoitego pożegnania się.

— Do widzenia, Rogerze — powiedział, łykając ślinę. — Ja... myślę, że lepiej będzie, jeśli zobaczysz się z matką.

Ale Roger poprzestał na wzruszeniu ramionami i niecierpliwie spoglądał na Maigreta. Ze schodów dochodziły odgłosy oddalających się kroków Martina.

Młody człowiek milczał. Ręka machinalnie spoczęła na flakonie eteru stojącym na nocnym stoliku i przesunęła go nieco dalej.

— Nie ma mi pan nic do zakomunikowania? — powoli zapytał komisarz.

— Absolutnie!
— Bo jeśli ma pan coś do powiedzenia, to lepiej teraz niż później...
— Później też nie będę miał panu nic do powiedzenia. Chociaż, owszem! Jedno mogę panu powiedzieć natychmiast: trafił pan jak kulą w płot...
— Więc jeśli wczoraj wieczorem nie widział się pan z ojcem, musi pan być teraz bez grosza?
— Święte słowa!
— Jak pan sobie poradzi?
— Niech się pan o mnie nie martwi, bardzo pana proszę... Pozwoli pan?
Zaczął nalewać wody do miednicy, przygotowując się do porannych ablucji.
Z przekory Maigret zrobił jeszcze parę kroków po pokoju, potem wyszedł, udając się pod sąsiedni numer, gdzie oczekiwały obie kobiety. Twarz Celiny była bardziej podniecona, Nina natomiast siedziała w fotelu i powoli gryzła chusteczkę, wielkimi rozmarzonymi oczyma gapiąc się w okno.
— I co? — zapytała kochanka Rogera.
— Nic! Może pani wracać do siebie.
— To naprawdę jego ojciec został...
I nagle, bardzo serio, marszcząc czoło:
— To znaczy, że on dziedziczy...
Wyszła w zamyśleniu.

*

Na chodniku Maigret zapytał swej towarzyszki:
— Dokąd pani idzie?
Nieokreślony, obojętny ruch ręki, a potem:
— Pójdę do Moulin-Bleu, może zechcą mnie przyjąć do pracy...
Zapytał z życzliwym zainteresowaniem:
— Kochała pani Coucheta?
— Powiedziałam panu wczoraj: to był równy gość. A przysięgam panu, teraz takich nie często się spotyka. Kiedy sobie pomyślę, że jakiś łajdak go...
Uroniła dwie łzy, potem nic.
— To tu — powiedziała, otwierając małe drzwi, służące jako wejście dla aktorów.
Maigret poczuł pragnienie, wstał do baru na małe piwo. Powinien był wrócić na plac des Vosges. Widok aparatu telefonicznego przypominał mu, że nie wpadł jeszcze do centrali na nabrzeżu des Orfèvres i że może czeka tam na niego pilna korespondencja. Zadzwoił więc do woźnego.
— To ty, Jean? Nic dla mnie? Co?... Pani, która czeka już od godziny? W żałobie?... Może pani Couchet? Co? Pani Martin? Już przyjeżdżam!
Pani Martin w żałobie! I od godziny czeka na korytarzu w gmachu policji kryminalnej!
Maigret poznał na razie tylko jej chiński cień, pocieszny cień na firance w oknie drugiego piętra, kiedy wczoraj tak gestykulowała i poruszała wargami, ciskając straszliwe obelgi. „To się często zdarza!” — mówiła dozorczyńni. A ten biedak z urzędu notarialnego, który zapomniał rękawiczki, poszedł sam jeden na przechadzkę po ciemnych nabrzeżach... a kiedy Maigret o pierwszej nad ranem opuszczał podwórce, słyszał jakiś chrobot za szybą!
Powoli wchodził po schodach gmachu policji kryminalnej, po drodze uściśnął dłoń kilku kolegów, zajrzał przez uchylone drzwi poczekalni.
Dziesięć foteli obitych zielonym pluszem. Stół wyglądający jak bilard. Na ścianie tablica honorowa: dwieście portretów funkcjonariuszy, poległych na służbie.

W środkowym fotelu dama w czerni, bardzo sztywna, jedną ręką trzymała torebkę, drugą oparła na rękojeści parasolki. Wąskie wargi. Wzrok wbity prosto przed siebie.
Nie poruszyła się nawet gdy poczuła, że jest obserwowana.
Czekała z kamiennym wyrazem twarzy.

IV. OKNO NA DRUGIM PIĘTRZE

Weszła przodem, przepuszczona przez Maigreta, z agresywną godnością ludzi, dla których największym nieszczęściem jest ironia ze strony bliźnich.

— Zechce pani zająć miejsce.

To Maigret — niezguła, pocziwiec, o nieco pozbawionych wyrazu oczach — przywitał ją i wskazał krzesło dobrze oświetlone bladym prostokątem okna. Rozsiadła się dokładnie w tej samej pozie, jaką przedtem przybrała w poczekalni.

Godna poza, nie ma dwóch zdań! I w dodatku poza wojownicza! Łopatki nie dotykały oparcia. A dłoń w czarnej nicianej rękawiczce gotowa była do gestykulacji, nie wypuszczając torebki, huśtającej się w powietrzu.

— Panie komisarzu, przypuszczam, że dziwi się pan dlaczego...

— Nie!

To nie złośliwość kazała Maigretowi zbić ją w ten sposób z pantałyku już przy pierwszej próbie nawiązania kontaktu. Nie był to także przypadek. Czuł, że to konieczność.

On sam zajął miejsce w fotelu za biurkiem. Odchylił się do tyłu w pozie dość wulgarniej i powoli, łączywie, pykał fajkę.

Pani Martin podskoczyła, a raczej zeszytniała w biuście.

— Co chce pan przez to powiedzieć? Chyba się pan nie spodziewał, że...

— Owszem!

I uśmiechnął się do niej z miną pocziwca. Jej palcom zrobiło się nagle ciasno w czarnych nicianych rękawiczkach. Przejmującym wzrokiem potoczyła wokół siebie, gdy nagle przyszło natchnienie.

— Otrzymał pan anonimowy list?

W pytaniu zawarte było jednocześnie twierdzenie. Jej mina fałszywej pewności siebie sprawiała, że komisarz jeszcze bardziej się uśmiechnął, ponieważ widział w tym cechę charakterystyczną, doskonale harmonizującą z tym wszystkim, co już uprzednio o swojej rozmówczyni wiedział.

— Nie dostałem żadnego anonimowego listu...

Z powątpiewaniem wzduszyła głowę.

— Nie chce mi pan chyba wmówić, że...

Wyglądała jak żywcem wycięta ze starego albumu rodzinnego. Jej wygląd wręcz idealnie pasował do urzędnika biura notarialnego, którego poślubiła.

Można sobie ich było łatwo wyobrazić, jak w niedzielne popołudnie kroczą na przykład Polami Elizejskimi: czarne, nerwowe plecy pani Martin, kapelusz zawsze przekrzywiony z powodu uczesania w kok, pośpieszny chód kobiety pełnej życia i ten gest podbródka, podkreślający kategorię każdego słowa... I jasnobezowy płaszcz pana Martina, skórzane rękawiczki, spokojny, pewny krok, skłonność do wałęsania się i zatrzymywania przed wystawami...

— Miała pani w domu żałobne stroje? — podstępnie zapytał Maigret, zachłystując się wielkim kłębem dymu.

— Moja siostra zmarła przed trzema laty... Mam na myśli moją siostrę z Blois, tę która wyszła za komisarza policji. Więc rozumie pan, że...

— Że co?

Nic! Po prostu go ostrzegała! Najwyższy czas dać mu odczuć, że nie wypadła sroce spod ogona!

Zaczynała się jednak denerwować, gdyż całe przemówienie, jakie sobie zawczasu przygotowała, na nic się zdało z winy tego opasłego komisarza.

— Kiedy dowiedziała się pani o śmierci pierwszego męża?

— Ależ... dziś rano, jak wszyscy! Dozorczyńni mi powiedziała, że to pan prowadzi śledztwo, a ponieważ ja jestem w delikatnej sytuacji... Pan nie jest w stanie zrozumieć.

— Rozumiem, doskonale rozumiem! A propos, syn nie odwiedzał pani wczoraj po południu?

— Co pan próbuje insynuować?

— Nic. Po prostu pytam.

— Dozorczyńni powie panu, że nie był u mnie od co najmniej trzech tygodni.

Mówiła oschle. Wzrok był bardziej agresywny. Czy Maigret nie popełnił błędu, nie pozwalając jej na wygłoszenie przygotowanej mowy?

— Cieszę się z pani przyjścia, ponieważ to świadczy o pani delikatności uczuć i...

Jedno słowo „delikatność” odmieniło coś w szarych oczach kobiety. Skłoniła głowę w geście podziękii.

— Bywają bardzo przykre sytuacje! — powiedziała. — Nie każdy potrafi to pojąć. Nawet mój mąż, który odradzał mi noszenie żałoby! Proszę zauważyć, że jestem w żałobie, a jednocześnie nie jestem. Nie noszę woalki, nie noszę krepy! Po prostu ubrałam się na czarno.

Zaaprobował ruchem podbródka, fajkę położył na biurku.

— Jeśli nawet jesteśmy rozwiedzeni, a Raymond mnie unieszczęśliwił, powinnam...

Znów nabierała pewności siebie. Nieświadomie zbliżała się do z góry przygotowanego przemówienia.

— Zwłaszcza w takiej wielkiej kamienicy, gdzie mieszka dwudziestu ośmiu lokatorów! I to jakich lokatorów! Nie mówię o tych z pierwszego piętra! Ale nawet! Może pan de Saint-Marc jest dobrze wychowany, ale jego żona za skarby świata z nikim się nie przywita. Gdy ktoś otrzymał staranne wychowanie, trudno mu...

— Pani się urodziła w Paryżu?

— Mój ojciec był cukiernikiem w Meaux.

— W jakim wieku wyszła pani za Coucheta?

— Miałam dwadzieścia lat... Proszę zauważyć, że rodzice nawet nie pozwalali mi pracować w sklepie. W tym czasie Couchet był komiwojażerem. Twierdził, że doskonale zarabia, że potrafi kobiecie zapewnić szczęście...

Wzrok stężał. Upewniała się, czy ze strony Maigreta nie ma groźby ironii.

— Wolę nie mówić, jak bardzo się przy nim wycierpiałam. Wszystko co zarobił, tracił na śmiesznych spekulacjach. Mówił, że się wzbogaci, ale posady zmieniał trzy razy do roku, a kiedy urodził się nam syn, nie mieliśmy grosza oszczędności i moja matka musiała mu kupić wyprawkę...

Wreszcie oparła parasolkę o biurko. Maigret pomyślał, że na pewno z taką samą oschłą gwałtownością musiała przemawiać poprzedniego wieczora, kiedy obserwował jej chiński cień za firanką.

— Mężczyzna nie powinien się żenić, jeżeli nie potrafi kobiety utrzymać! Zawsze to powtarzam! Zwłaszcza kiedy się nie ma dumy za grosz! Nie śmiem nawet wymienić panu wszystkich zawodów, których się imał Couchet. Mówiłam mu, żeby poszukał poważnej posady, z zapewnioną emeryturą. Na przykład w administracji państwowej... Gdyby mu się coś stało, ja przynajmniej nie zostałabym bez środków do życia. Ale nie! On potrafił nawet kręcić się przy kolarskim Tour de France, już nawet nie wiem w jakim charakterze. Zdaje się, że jeździł przodem i starał się o zaopatrzenie, czy coś w tym rodzaju! I wrócił bez grosza przy duszy! Taki to był człowiek. I takie prowadziłam przy nim życie...

— Gdzieście państwo mieszkali?

— W Nanterre. Bo nie mógł sobie nawet pozwolić na mieszkanie w mieście! Znał pan Coucheta? On się niczym nie przejmował, nie miał wstydu za grosz! I nie martwił się niczym... Twierdził, że pisane mu zdobyć dużo pieniędzy i że je zdobędzie. Skończyły się rowery, zaczęły się łańcuszki do zegarka, proszę pana, które sprzedawano po jarmarkach!

Moje siostry bały się nawet pójść na jarmark w Neuilly, z obawy że go spotkają w takich okolicznościach...

— Czy to pani wystąpiła o rozwód? Wstydliwie pochyliła głowę, ale w twarzy nadal rysowała się nerwowość.

— Pan Martin mieszkał w tej samej co my kamienicy. Był wtedy młodszy niż dziś, miał piękne stanowisko w administracji państwowej... Couchet stale zostawiał mnie samą, a sam gonił za przygodami. Nie, wszystko odbyło się jak najbardziej w porządku! Ale też powiedziałam mu dokładnie, co o nim myślę! Wystąpiliśmy o rozwód za obopólną zgodą, z powodu niezgodności charakterów. Couchet miał mi tylko płacić alimenty na małego. Martin i ja odczekaliśmy nawet cały rok, nim się pobraliśmy...

Teraz poruszała się w fotelu niespokojnie. Palcami przebierała po srebrnej rączce torebki.

— Rozumie pan, nigdy nie miałam szczęścia. Na początku Couchet nawet alimentów nie płacił regularnie! Delikatnej kobiecie przykro patrzeć, jak drugi mąż ponosi koszt utrzymania dziecka, które nie jest jego...

Nie! Maigret nie drzemał, mimo na wpół przymkniętych oczu i zgaszonej fajki, której nie wyjmował z ust.

Nastrój stawał się przykry. Oczy kobiety zwilgotniały, wargi zaczęły drżeć w sposób niepokojący.

— Tylko ja jedna wiem, ile się wycierpiałam! Posyłałam Rogera do szkół, chciałam, żeby otrzymał staranne wykształcenie. Nie wdał się w ojca, był czuły, wrażliwy... Kiedy miał siedemnaście lat, Martin załatwił mu posadę w banku, żeby się nauczył zawodu. Ale właśnie wtedy spotkał Coucheta, nawet nie wiem gdzie...

— I przyzwyczał się wyłudzać pieniądze od ojca?

— Proszę zwrócić uwagę, że mnie Couchet zawsze wszystkiego odmawiał! Dla mnie wszystko było za drogie! Sama musiałam szyć sobie suknie i trzy lata chodzić w jednym kapeluszu.

— A Rogerowi dawał wszystko, czego syn zapragnął?

— Zdemoralizował go! Roger wyprowadził się z domu, zamieszkał sam. Tylko od czasu do czasu do mnie zachodzi. Ale odwiedzał także ojca...

— Dawno państwo mieszkacie przy placu des Vosges?

— Prawie osiem lat. Kiedy znaleźliśmy mieszkanie, nie mieliśmy w ogóle pojęcia, że Couchet ma coś wspólnego ze szczepionkami. Martin chciał się nawet wyprowadzić. Tylko tego by brakowało! Jeśli ktoś miał się wynieść — mam rację? — to chyba tylko Couchet. On się wzbogacił, nie mam pojęcia w jaki sposób. Widywałam go, jak zajeżdżał samochodem prowadzonym przez szofera. Bo miał nawet szofera! I widziałam jego żonę...

— U niej w domu?

— Czatowałam na ulicy, żeby zobaczyć do czego jest podobna. Ale wolę nic nie mówić. W każdym razie nic nadzwyczajnego, mimo min jakie stroi i mimo karakułowego futra.

Maigret otarł twarz dłonią. To zaczynało wyglądać na obsesję. Już od kwadransa wpatruje się w tę samą twarz, a teraz odnosi wrażenie, że nigdy już nie będzie w stanie jej wymazać z siatkówki oka.

Twarcz szczupła, bezbarwna, o rysach delikatnych, bardzo ruchliwych, która chyba nigdy nie wyrażała innego uczucia, prócz bolesnego pogodzenia z losem.

Ta twarz przypominała mu także niektóre portrety rodzinne, nawet w jego własnej rodzinie. Miał kiedyś ciotkę, tęższą od pani Martin, która także nie przestawała biadolić. Kiedy był jeszcze dzieckiem, wiedział że ilekroć przyjeżdżała, nim jeszcze zdąży się, wyciągnie z torebki chusteczkę. „Moja biedna Hermancjo — zaczynała — co za życie! Muszę ci opowiedzieć, co Piotr znów zbroił...” I miała tę samą ruchomą maskę, za wąskie wargi i oczy, w których czasem migały jak gdyby błędne ogniki.

Pani Martin nagle straciła wątek. Denerwowała się.

— Teraz może pan zrozumieć moje położenie. No pewnie, Couchet ożenił się po raz drugi. Ale to nie zmienia faktu, że byłam jego żoną, dzieliłam z nim początki, to znaczący najtrudniejsze lata jego życia. Ta druga, to lalka...

— Rości sobie pani prawo do spadku?

— Ja?! — zawołała z oburzeniem — za żadne skarby nie przyjąłabym jego pieniędzy! Nie jesteśmy bogaci, Martinowi brak inicjatywy, nie potrafi się pchać, pozwala by mniej od niego zdolni koledzy kopali pod nim dołki. Ale gdybym nawet musiała chodzić na posługi, nie chciałabym...

— Czy to pani wysłała męża, żeby uprzedził Rogera?

Nie zbladła, bo to byłoby niemożliwe. Jej cera zachowała jednolitą szarość. Ale we wzroku czuło się wahanie.

— Skąd pan wie?

I nagle z oburzeniem:

— Mam nadzieję, że przynajmniej nie jesteśmy inwigilowani! To już byłby szczyt wszystkiego! W takim wypadku nie wahałabym odwołać się bardzo wysoko...

— Proszę się uspokoić, nic podobnego nie powiedziałem. To czysty przypadek sprawił, że właśnie dziś rano spotkałem pana Martina.

Ale ona, ciągle nieufna, obserwowwała komisarza bez pobłażliwości.

— Skończy się na tym, że będę żałowała, że tu w ogóle przyszłam! Człowiek chce być zawsze w porządku... A pan, zamiast okazać wdzięczność...

— Zapewniam panią, że jestem niewymownie wdzięczny za tę wizytę!

Mimo to czuła, że coś tu nie gra. Ten tęgi mężczyzna o szerokich barach, ze skuloną w ramionach głową, który przyglądał się jej naiwnymi oczyma, jak gdyby wypranymi z wszelkiej myśli, teraz budził w niej strach.

— Tak czy inaczej — wykrztusiła ostrym głosem — lepiej, że ja sama o tym powiem, niżby miała dozorczyni... Przecież skończyłoby się na tym, że pan by się i tak dowiedział.

— Że pani była pierwszą panią Couchet?

— Widział pan tamtą?

Maigret z trudem powstrzymywał się od uśmiechu.

— Jeszcze nie.

— Ona pewnie będzie wylewała krokodyle łzy! Co nie przeszkadza, że teraz jest już spokojna... dzięki milionom, które Couchet zarobił!

No i nagle zaczęła płakać, dolna warga drgnęła, zmieniając zupełnie wyraz twarzy, usuwając to, co w niej było zbyt ostrego.

— Ona go nawet nie знаła, kiedy się męczył, kiedy potrzebna mu była kobieta, która dodałaby mu otuchy...

Głuchy szloch, ledwie słyszalny, bulgotał raz po raz w chudej szyi, przewiązanej jedwabną wstążką.

Wstała, rozejrzała się wokół, aby się upewnić, że niczego nie zapomniała, i pociągnęła nosem.

— Ale to się wszystko nie liczy... Gorzki uśmiech przez łzy.

— Ja w każdym razie spełniłam mój obowiązek. Nie wiem, co pan sobie o mnie pomyśli, ale...

— Zapewniam panią, że...

Miałby trudności z zakończeniem, gdyby ona sama nie dodała:

— Mnie to obojętne! Mam swoje sumienie! Nie każdy może to samo o sobie powiedzieć...

Czegoś jej było brak, ale sama nie wiedziała czego. Potoczyła jeszcze raz wzrokiem, poruszyła ręką jak gdyby zdumiona, że nic w niej nie ma.

Maigret wstał, żeby odprowadzić ją do drzwi.

— Dziękuję, że się pani pofatygowała...

— Zrobiłam to, co uważałam za mój obowiązek!

Wyszła na korytarz, gdzie śmiejąc się, rozmawiali inspektorzy. Minęła ich z wielką godnością, nie odwracając głowy.

A Maigret po zamknięciu drzwi podszedł do okna i mimo chłodu otworzył je na oścież. Był znużony, jak po długotrwałym przesłuchaniu jakiegoś przestępcy. Przede wszystkim czuł w sobie ten nieokreślony niepokój, który doskwierał mu ilekroć zmuszony był spojrzeć na życie z pozycji, o których zazwyczaj woli się nie pamiętać.

Nie było w tym nic dramatycznego, nic oburzającego. Nie powiedziała mu niczego nadzwyczajnego, nie roztoczyła przed nim żadnych nowych widnokręgów. Co nie przeszkadza, że wyniósł z tej rozmowy coś w rodzaju uczucia obrzydzenia.

Na biurku leżał biuletyn policyjny, widać było zdjęcia dwudziestu poszukiwanych osobników. W większości twarze zezwierzęcone, głowy noszące piętno zwyrodnienia.

„Ernst Strowitz, skazany zaocznie przez trybunał w Caen za morderstwo chłopki na drodze do Benouville...”

I dopisek w kolorze czerwonym: **„Niebezpieczny. Zawsze uzbrojony”**.

Taki typ drogo sprzedaje swoje życie. No cóż, Maigret wolał to od tej całej przesłodzonej szarości, tych rodzinnych historii, tej zbrodni na razie niewyjaśnionej, ale już przyprawiającej go o majaczenia.

Zadzwoił. Zjawił się Jean i Maigret posłał go po zamówione z rana akta wszystkich osób zamieszanych w tę tragedię.

Niewiele tego było. Nina została zatrzymana jeden jedyny raz, na Montmartrze w czasie obławy i zwolniona gdy udowodniła, że nie utrzymuje się z nierządu.

Jeśli idzie o młodego Coucheta, miała go na oku brygada z obyczajówki, jako podejrzanego o uprawianie hazardu i o handel narkotykami. Ale nigdy nie wysunięto przeciw niemu konkretnych zarzutów.

Telefon do obyczajówki. Celina, której nazwisko brzmiało Loiseau i która urodziła się w Saint-Amand-Montrond, była tam dobrze znana, miała kartę, regularnie zgłaszała się na badania.

— To nie jest zła dziewczyna! — powiedział sierżant — najczęściej zadowala się jednym lub dwoma stałymi przyjaciółmi. Spotykamy się z nią dopiero, gdy znów wróci na ulicę...

Woźny, który czekał w pokoju, zwrócił Maigretowi uwagę:

— Ta pani zapomniała parasolkę!

— Wiem.

— Aha...

— Tak, jest mi potrzebna.

I komisarz wzdychając wstał, podszedł zamknąć okno i usadowił się plecami do ognia, w pozycji którą zawsze przyjmował, gdy chciał pomyśleć.

*

W godzinę później mógł już podsumować w pamięci notatki, które napłynęły od różnych służb, a teraz leżały rozwalone u niego na biurku.

Przede wszystkim sekcja zwłok potwierdziła opinię lekarza sądowego: strzał oddano z odległości około trzech metrów, śmierć nastąpiła błyskawicznie. Żołądek denata zawierał znikomą ilość alkoholu, ale żadnego pożywienia.

Fotografowie, pracujący w czeluściach Pałacu Sprawiedliwości, oświadczyli, że nie udało się znaleźć żadnych interesujących odcisków palców.

I wreszcie bank „Credit lyonnais” potwierdził, że Couchet, dobrze im osobiście znany, wpadł około wpół do czwartej do centrali i podjął trzysta tysięcy franków w nowych banknotach, jak to miał w zwyczaju w przedostatni dzień każdego miesiąca.

Było więc praktycznie pewne, że po przybyciu na plac des Vosges Couchet włożył te trzysta tysięcy do kasy, razem z sześćdziesięcioma tysiącami, które już się w niej znajdowały.

Ponieważ miał jeszcze robotę, nie zamknął kasy, o którą opierał się plecami.

Światło w laboratorium świadczyło, że w pewnym momencie wyszedł z gabinetu, albo żeby zajrzeć do innych pomieszczeń, albo, co bardziej prawdopodobne, żeby pójść do toalety.

Czy kiedy wrócił na swoje miejsce, pieniądze były jeszcze w kasie?

Prawdopodobnie nie, gdyż w takim wypadku zabójca byłby zmuszony odsunąć zwłoki, żeby otworzyć ciężkie drzwi pancerne i zgarnąć pieniądze.

Tak wyglądała techniczna strona zbrodni. A więc zabójca–złodziej, czy zabójca i złodziej, działający każdy na własną rękę?

Maigret spędził dziesięć minut u sędziego śledczego, żeby mu zakomunikować osiągnięte wyniki. Potem, ponieważ minęło już południe, wrócił do domu zgarbiony, co było oznaką złego humoru.

— Czy to ty zajmujesz się tą sprawą na placu des Vosges? — zapytała żona, która już czytała popołudniową prasę.

— Ja.

I Maigret, jakiś nieswój, usiadł, przyglądając się żonie z czułością zmieszaną z odrobiną niepokoju. Ciągle miał przed oczyma wychudzoną twarz, czarną suknię i zbolące oczy pani Martin. I łzy, które pojawiały się z nagle, po czym znikaly jak gdyby wypalone wewnętrznym ogniem, by nieco później odrodzić się na nowo!

Pani Couchet, która miała futra... I pani Martin, która futra nie miała... Couchet, który zajmował się zaopatrzeniem „Tour de France” i jego pierwsza żona, która musiała trzy lata zadowalać się jednym kapeluszem...

I syn... I flakon z eterem na nocnym stoliku w hotelu Pigalle...

I Celina, która wychodziła na ulicę tylko wówczas, kiedy przejściowo nie miała stałego przyjaciela...

I Nina...

— Nie robisz wrażenia zadowolonego. Źle wyglądasz. Zdaje się, żeś się zaziębił...

To była prawda! Maigret czuł szczypanie w nosie i coś w rodzaju pustki w mózgu.

— Coś ty za parasolkę przyniósł ze sobą? Okropna!

Parasolka pani Martin! Małżeństwo Martin, jasno-beżowy płaszcz i czarna jedwabna suknia, spacerujące w niedzielę po Polach Elizejskich...

— To nic! Nie wiem, o której wrócę.

*

To są wrażenia, których nie da się wyjaśnić: czuło się, że w tej kamienicy stało się coś niezwykłego, coś co przejawiało się nawet od frontu.

Poruszenie w sklepiku z wieńcami ze sztucznych kwiatów? Jasne, lokatorzy musieli się złożyć na wieniec.

Niespokojny wzrok damskiego fryzjera, którego zakład mieścił się po drugiej stronie bramy?

Tak czy inaczej, tego dnia kamienica sprawiała niezdrowe wrażenie. A ponieważ dochodziła czwarta i zbliżał się zmierzch, pod sklepieniem bramy już się paliła śmieszna mała lampka.

Naprzeciwno strażnik zamykał właśnie ogrodzenie skweru. Lokaj państwa de Saint–Marc powoli, sumiennie, zaciągał story na pierwszym piętrze.

Gdy Maigret zapukał do drzwi portierni, dozorczyńni, pani Bourcier, była w trakcie opowiadania o najnowszych wydarzeniach inkasentowi od Dufayela w błękitnej liberii.

— Dom, w którym nigdy nic się nie zdarzyło... Psst! To pan komisarz...

Dozorczyni dziwnie jakoś przypominała panią Martin. Obie były kobietami w nieokreślonym wieku, nieokreślonej płci. I obie były nieszczęśliwe, albo uważały się za nieszczęśliwe.

Tylko że dozorczyni miała w sobie więcej rezygnacji, prawie zwierzęcego pogodzenia z losem.

— Jojo... Liii... Nie kręćcie się pod nogami! Dzień dobry, panie komisarzu! Spodziewałam się pana rano. Co za historia! Pomyślałam, że dobrze będzie przejść się po lokatorach z listą składkową na wieniec... Czy wiadomo, kiedy pogrzeb? A propos... pani de Saint-Marc... Pan wie... Proszę nic jej nie mówić. Pan de Saint-Marc był u mnie z rana. Boi się wzruszenia, w jej stanie...

W podwórzu wypełnionym niebieskawym powietrzem, obie lampy, jedna w bramie i druga wmurowana w ścianę, rzucały długie żółte cienie.

— Gdzie mieszka pani Martin? — zapytał Maigret.

— Drugie piętro, trzecie drzwi po prawej, za zakrętem. Komisarz rozpoznał okno, w którym paliło się światło,

ale dziś zaden cień nie rysował się za firanką.

Obok laboratorium słychać było stukot maszyn do pisania. Pojawił się jakiś dostawca:

— Szczepionki doktora Rivière?

— W głębi podwórza. Prawe drzwi. Jojo, zostawisz wreszcie siostrzyczkę w spokoju?!

Maigret wszedł na schody, trzymając pod pachą parasolkę pani Martin. Do wysokości pierwszego piętra dom był świeżo odnowiony, ściany odmalowane, a stopnie polakierowane.

Od drugiego piętra zaczynał się inny świat, brudne ściany, popękany sufit. Drzwi do mieszkań pomalowano na brudny brązowy kolor. Na drzwiach wizytówki przypięte pluskiewkami, lub małe tabliczki z odrapanego aluminium.

Wizytówka, po trzy franki za sto sztuk: **Państwo Edgarostwo Martin**. Po prawej sznur z trójkątnej plecionki, zakończony frędzlą. Gdy Maigret pociągnął za sznur, w głębi mieszkania rozległ się piskliwy dzwonek. Potem szybkie kroki. Jakiś głos zapytał:

— Kto tam?

— Odniosłem pani parasolkę.

Drzwi otworzyły się. Przedpokój metr na metr. Na wieszaku wisiał jasnobezowy płaszcz. Na wprost otwarte drzwi pokoju, ni to salonu, ni jadalni, z odbiornikiem radiowym na kufrze.

— Przepraszam, że panią niepokoję. Dziś rano zapomniała pani w moim gabinecie parasolkę.

— Widzi pan! A ja myślałam, że ją zgubiłam w autobusie. Powiedziałam nawet Martinowi...

Maigret nawet się nie uśmiechnął. Przyzwyczał się już do kobiet, które mają bzika na punkcie wołania męża po nazwisku.

Martin był w domu, w prążkowanych spodniach, na które narzucił bonzurkę z grubego materiału w kolorze czekoladowym.

— Proszę, niech pan wejdzie.

— Nie chciałbym przeszkadzać.

— Przeszkadzać można tylko tym, którzy mają coś do ukrywania!

Nie ulega wątpliwości, że podstawową cechą charakterystyczną każdego mieszkania jest zapach. Tu był przytłumiony, ale można było odróżnić zapachy pasty do podłogi, kuchni i starych ciuchów.

Kanarek trzepotał się w klatce, czasem prychając kropelkami wody na pokój.

— Podałbyś fotel panu komisarzowi!

Fotel! Był tylko jeden, w stylu wolterowskim, pokryty skórą tak ciemną, że sprawiała wrażenie czarnej.

A pani Martin, zupełnie inna niż ta, która go odwiedziła z rana, wdzięczyła się:

— Napije się pan czegoś? Ależ oczywiście! Martin, przynieś aperitif!

Martin był podrażniony. Może w domu nic nie było? Może zostały tylko resztki na dnie butelki?

— Dziękuję pani. Nigdy nie pijam przed posiłkiem.

— Ależ ma pan jeszcze czas...

To było żalosne! Tak żalosne, że odechciewało się być mężczyzną, traciło się ochotę do życia na tej ziemi, gdzie przecież mimo wszystko słońce świeci przynajmniej przez kilka godzin dziennie i gdzie żyją naprawdę wolne ptaki!

Ci ludzie najwidoczniej nie lubili światła, bo trzy żarówki elektryczne były starannie przesłonięte grubym kolorowym płótnem, przepuszczającym tylko absolutne minimum promieni.

„Głównie chyba pasta do podłogi” — pomyślał Maigret.

Tak, to ona właśnie decydowała o zapachu! Nawet stół z masywnego dębu był wypolerowany jak lustro.

Martin przybrał już uśmiech pana domu, podejmującego gości.

— Musicie tu mieć państwo wspaniały widok na plac des Vosges, jedyny w swoim rodzaju w całym Paryżu! — powiedział Maigret, choć wiedział doskonale, że okna wychodzą na podwórze.

— Niestety! Mieszkania frontowe na drugim piętrze mają zbyt niskie powały, ze względu na styl całego budynku. Wie pan, że cały plac został zakwalifikowany jako zabytek historyczny? Nie wolno nic zmieniać. To żalosne! Od lat już chcieliśmy zainstalować łazienkę, ale...

Maigret podszedł do okna. Niedbałym ruchem uchylił firankę, za którą wczoraj widział chińskie cienie. I znieruchomiał, do tego stopnia zdumiony, że nawet zapomniał prowadzić konwersację, jak przystało dobrze wychowanemu gościowi.

Na wprost mieściły się biura i laboratorium firmy Coucheta.

Przedtem, na dole, zauważył, że szyby były z matowego szkła. Ale teraz zorientował się, że matowe były tylko dolne szyby. Reszta była jasna, przezroczysta, myta dwa lub trzy razy na tydzień przez całą ekipę sprzątaczek.

Teraz wyraźnie widział, jak w tym samym miejscu, gdzie zabity został Couchet, dyrektor Philippe podpisuje pisane na maszynie listy, które sekretarka podaje mu jeden po drugim. Mógł nawet dostrzec zamek pancерnej kasy.

A drzwi wewnętrzne, prowadzące do laboratoriom, były uchylone. Przez okna pracowni widać było kobiety w białych kitlach, siedzące wzdłuż ogromnego stołu i zajęte pakowaniem szklanych probówek.

Każda miała swoje zadanie. Pierwsza wyjmowała probówki z koszyka, a dziewiąta wręczała urzędnikowi paczuszkę w idealnym stanie, z wypisanym adresem, starannie opakowaną, krótko mówiąc, towar nadający się do natychmiastowej dostawy do apteki.

— Może jednak podasz coś do picia! — za plecami Maigreta rozległ się głos pani Martin.

Jej mąż drgnął, otworzył kredens, zadzwieczał kieliszkami.

— Tylko kropla wermutu, panie komisarzu! Za to pani Couchet będzie bez wątpienia mogła poczęstować pana koktajlami.

Pani Martin uśmiechała się uszczypliwie, jak gdyby miała żądło zamiast warg.

V. WARIATKA

Maigret z kieliszkiem w ręku powiedział, przyglądając się pani Martin:

— Ha, gdyby tylko pani wczoraj wieczorem wyglądała przez okno! Mógłbym natychmiast zakończyć śledztwo. Przecież stąd nie można nie widzieć wszystkiego, co się dzieje w gabinecie Coucheta!

Na próżno by się doszukiwać w jego głosie czy postawie ukrytych intencji. Smakował wermut, nie przestając rozmawiać.

— Powiedziałbym nawet, że ta sprawa stałaby się jednym z najdziwniejszych przypadków naocznego świadectwa w postępowaniu kryminalnym. Ktoś, kto z daleka asystował przy morderstwie! Mało tego! Dzięki lornetce można byłoby tak wyraźnie widzieć wargi rozmawiających, że udałoby się nawet odtworzyć treść ich rozmowy!

Pani Martin nie wiedziała co o tym sądzić, zachowywała rezerwę, z nieokreślonym uśmiechem przyklejonym do bladych warg.

— Ale co za przeżycie dla pani! Stać tak spokojnie przy własnym oknie i nagle zobaczyć, jak ktoś grozi byłemu mężowi! Gorzej nawet! Przecież ta scena musiała być jeszcze bardziej skomplikowana. Wyobrażam sobie, że Couchet był sam, pogrążony w rachunkach. Potem wstał i udał się do toalety. Kiedy wrócił, ktoś grzebał w kasie pancерnej i nie zdążył uciec... Ale jest w tej całej sprawie jeden dziwny szczegół: dlaczego Couchet ponownie usiadł? Prawda, może znał złodzieja? Może z nim rozmawiał, czynił mu wyrzuty, domagał się zwrotu pieniędzy...

— Tylko że trzeba było jeszcze, żebym ja stała przy oknie — wykrztusiła wreszcie pani Martin.

— Może inne okna na tym samym piętrze także mają podobny widok? Kto mieszka po prawej stronie państwa?

— Dwie młode dziewczyny z matką. To te, które przez cały dzień puszczały płyty.

Nagle rozległ się krzyk, który Maigret już kiedyś słyszał. Przez chwilę milczał, potem wymamrotał:

— To ta wariatka, prawda?

— Psst! — odpowiedziała pani Martin, cichutko stąpając ku drzwiom.

Otworzyła je z nienacka. Na kiepsko oświetlonym korytarzu widać było sylwetkę szybko oddalającej się kobiety.

— Stara megiera! — mruknęła pani Martin, dostatecznie głośno, by tamta ją usłyszała.

Wściekła wróciła do pokoju i wyjaśniła komisarzowi:

— To stara Matylda! Była kucharka. Widział ją pan? Wygląda jak wielka ropucha. Mieszka w sąsiednim pokoju, z siostrą wariatką. Obie są równie stare i równie obrzydliwe! Od czasu jak tu mieszkamy, wariatka nigdy nie wyszła nawet ze swego pokoju.

— Dlaczego tak krzyczy?

— No właśnie! Zawsze ją napada kiedy zostaje po ciemku sama. Boi się jak dziecko. I wyje... Zdążyłam już zrozumieć, co się tam dzieje. Stara Matylda od rana do nocy szwenda się po korytarzach. Zawsze można ją zastać pod drzwiami, a kiedy się ją zaskoczy, nawet się nie krępuje. Po prostu odchodzi z tym swoim obrzydliwym, bezmyślnym łbem! Doszło do tego, że człowiek nie czuje się swobodny u siebie w domu, że trzeba zniżyć głos kiedy się rozmawia o sprawach rodzinnych. Przed chwilą przyłapałam ją na gorącym uczynku, prawda? No i co z tego? Założę się, że już zdążyła wrócić na swoje miejsce.

— To niezbyt przyjemne — zgodził się Maigret — ale czy gospodarz nie interweniuje?

— Robił wszystko, żeby je wyrzucić. Niestety, są ustawy... Nie mówiąc o tym, że to ani zdrowe ani apetyczne, dwie staruchy w jednym pokoju! Założę się, że się nawet nigdy nie myją...

Komisarz wziął kapelusz.

— Wybaczy mi pani, że ją niepokoiłem. Czas na mnie. Teraz miał już w pamięci dokładny obraz mieszkania,

od pokrowców na meble po kalendarze zdobiące ściany.

— Niech pan nie robi hałasu! Zaskoczy pan starą... To nie było zupełnie ściśle. Stała nie na korytarzu, tylko za uchylonymi drzwiami swojego pokoju, czatowała jak wielki pajak. Czuli się wyraźnie zaskoczona, gdy komisarz przechodząc, uprzejmie ją pozdrowił.

*

W porze aperitif Maigret siedział w Selekcie, nie opodal baru, gdzie rozmawiano tylko o wyścigach. Kiedy podszedł kelner, pokazał mu zdjęcie Rogera Coucheta, zabrane rano z hotelu przy ulicy Pigalle.

— Zna pan tego młodego człowieka?

Kelner zdziwił się.

— To ciekawe...

— Co w tym ciekawego?

— Wyszedł niespełna kwadrans temu. Siedział przy tamtym stoliku, nuch pan spojrz! Nie zwróciłbym nawet na niego uwagi, ale zamiast zamówić, powiedział tylko: „To samo co wczoraj!” Ale ja w ogóle nie pamiętałem, że bym go kiedykolwiek widział. Powiedziałem więc: „Może zechce mi pan przypomnieć, co to było?” „Oczywiście, gin!” I to mnie najbardziej rozbawiło: jestem zupełnie pewien, że wczoraj wieczorem nikomu nie podawałem ginu! Posiedział parę minut, potem poszedł... To dziwne, że pan akurat przyszedł i pokazał mi jego zdjęcie!

To wcale nie było dziwne. Roger starał się znaleźć potwierdzenie, że poprzedniego dnia był w Selekcie, jak opowiadał Maigretowi. Posłużył się dość zręcznym chwytem i popełnił tylko jeden błąd, wybierając nieczęsto zamawiany napój.

W kilka minut później weszła Nina. Z ponurym wzrokiem siadła przy stoliku najbliższym baru, potem dostrzegłszy komisarza wstała, zawahała się, podeszła do niego.

— Chce pan ze mną rozmawiać?

— Niekoniecznie. Chociaż, owszem! Chciałem panizadać jedno pytanie. Pani tu przychodzi prawie każdego wieczora, prawda?

— Raymond tu się zawsze ze mną umawiał.

— Ma pani swoje stałe miejsce?

— Tak, tam gdzie siadłam wchodząc.

— I tam pani wczoraj siedziała?

— Tak, dlaczego?

— I nie przypomina pani sobie, czy widziała pani tego faceta ze zdjęcia?

Przyjrzała się fotografii Rogera i szepnęła:

— Przecież to mój sąsiad z hotelu!

— Tak, to młody Couchet.

Zatrzepotała rękami, zaniepokojona tym zbiegiem okoliczności, zastanawiając się, co się za tym kryje.

— Przyszedł do mnie dziś rano, krótko po pańskim wyjściu. Właśnie wróciłam z Moulin-Bleu...

— Czego chciał?

— Pytał się, czy nie mam tabletki aspiryny, bo Celina źle się czuła.

— A co w teatrze? Zaangażowali panią?

— Mam tam pójść wieczorem. Jedna z tancerek okulala. Jeśli jej się nie polepszy, ja ją zastąpię, a potem może przyjmą mnie na stałe.

Zniżyła głos i ciągnęła dalej:

— Mam dla pana sto franków. Proszę mi podać rękę... Ten ruch był charakterystyczny dla całej jej osobowości. Nie chciała publicznie wręczać Maigretowi tych stu franków! Obawiała się, że to go może krępować. Trzymała więc banknot wielokrotnie złożony i ukryty w dłoni. I podała mu, jak żigolakowi!

— Dziękuję panu! Bardzo był pan miły.

Czuło się, że jest przybita. Rozglądała się wokół, absolutnie nie interesując się ludźmi wchodzącymi i wychodzącymi. Mimo to wymusiła błady uśmiech i zauważyła:

— Kierownik sali nam się przygląda. Zastanawia się, dlaczego ja z panem siedzę. Pewnie myśli, że już znalazłam kogoś na miejsce Raymonda. Może się pan skompromitować...

— Napij się pani czegoś?

— Dziękuję! — odmówiła dyskretnie. — Gdyby mnie pan przypadkiem potrzebował... W Moulin-Bleu nazywam się Elyane. Zna pan wejście za kulisy, od ulicy Fontaine?

*

To nie było wcale takie przykre. Maigret zadzwonił do drzwi apartamentu przy bulwarze Haussmanna kilka minut przed godziną kolacji. Od wejścia odurzył go ciężki zapach chryzantem. Służąca, która mu otworzyła drzwi, chodziła na koniuszkach palców.

Myślała, że komisarz chce tylko zostawić wizytówkę i bez słowa zaprowadziła go do pokoju przybranego na czarno, gdzie wystawiono zwłoki. Przy wejściu, na tacy w stylu Ludwika XVI, leżały liczne bilety wizytowe.

Zwłoki były już w trumnie, całej pokrytej kwiatami. W rogu wysoki młody człowiek w żałobie, bardzo wytworny, lekko skinął Maigretowi głową. Na wprost klęczała kobieta około pięćdziesiątki, o twarzy wulgarnej, wystrojona jak wieśniaczka w niedzielę.

Komisarz podszedł do młodego człowieka.

— Czy mógłbym porozmawiać z panią Couchet?

— Zapytam siostry, czy może pana przyjąć. Pan...?

— Maigret! Komisarz prowadzący dochodzenie.

Wieśniaczka nie ruszyła się z miejsca. Po paru chwilach młody człowiek wrócił i wskazał gościowi drogę.

Jeśli nie liczyć wszechobecnego zapachu kwiatów, w pokojach nic się nie zmieniło. Był to piękny apartament z końca ubiegłego wieku, jak większość mieszkań przy bulwarze Haussmanna. Ogromne pokoje. Plafony i drzwi raczej przeładowane ozdobami.

I stylowe meble. W salonie gigantyczny kryształowy świecznik leciutko drgał ilekroć ktoś stąpnął.

Pani Couchet znajdowała się w salonie w towarzystwie trzech osób, które przedstawiła. Najpierw młody człowiek w żałobie:

— Mój brat, mecenas Henry Dormoy... Potem pan w średnim wieku:

— Pułkownik Dormoy, mój stryj...

Wreszcie dama o pięknych, srebrzystych włosach:

— Moja matka...

Wszyscy w żałobie, ogromnie dystygowani. Ze stołu nie posprzątało jeszcze nakryć po herbacie, zostały grzanki i ciasteczka.

— Zechce pan siąść...

— Tylko jedno pytanie, jeśli pani pozwoli. Ta pani w pokoju żałobnym...

— Siostra mego męża — powiedziała pani Couchet — dziś rano przyjechała z Saint-Amand.

Maigret nie uśmiechnął się. Ale zrozumiał. Doskonale pojmował, że nikt tu sobie specjalnie nie życzy przyjazdu krewnych Coucheta w strojach chłopów czy drobnomieszczan.

Byli bowiem krewni ze strony męża i krewni ze strony Dormoy.

„Strona Dormoy” — to elegancja i dyskrecja. Wszyscy zdążyli już ubrać się na czarno.

„Strona Couchet” — to na razie tylko ta kumoszka w jedwabnym staniku, uwierającym pod pachami.

— Czy mógłbym zamienić z panią parę słów na osobności?

Przeprosiła krewnych, którzy szykowali się do wyjścia z salonu.

— Nie fatygujcie się, proszę. To my przejdziemy do żółtego buduaru...

Płakała, to było pewne. Potem przypudrowała się i ledwie dało się zauważyć znużenie powiek. Głos był stłumiony przez nieudawane zmęczenie.

— Czy nie miała dziś pani nieoczekiwanych wizyt?

Uniosła głowę, rozgniewana.

— Skąd pan wie? Owszem, wczesnym popołudniem przyszedł mój pasierb.

— Pani go uprzednio znała?

— Bardzo słabo. Z moim mężem widywał się w biurze.

Tylko raz spotkaliśmy się przypadkowo w teatrze i Raymond mi go przedstawił.

— Jaki był cel jego wizyty?

Odwróciła głowę z zażenowaniem.

— Chciał wiedzieć, czy znaleziono testament. Pytał mnie także, kto jest moim radcą prawnym, aby zwrócić się do niego w sprawie niezbędnych formalności.

Westchnęła, jak gdyby chcąc usprawiedliwić tę małostkowość.

— To jego prawo. Zdaje się, że połowa majątku przypadnie jemu i nie mam zamiaru boleć nad tym.

— Wybaczy pani kilka niedyskretnych pytań? Czy kiedy pani poślubiła Coucheta, był już człowiekiem bogatym?

— Tak. Nie tak bogatym jak dziś, ale jego interesy już się zaczęły rozkręcać.

— Małżeństwo z miłości? Lekko zakamuflowany uśmiezek.

— Można to i tak nazwać... Poznaliśmy się w Dinard. Po trzech tygodniach zapytał, czy zgodzę się zostać jego żoną. Moi rodzice zasięgnęli informacji...

— Była pani szczęśliwa?

Patrzył jej prosto w oczy i właściwie nie potrzebował odpowiedzi. Wolał sam wymamrotać:

— Była spora różnica wieku... Couchet miał swoje sprawy... W sumie chyba wasze stosunki nie były zbyt serdeczne. Mam rację? Pani prowadziła mu dom, ale pani wiodła swoje życie i on swoje.

— Nigdy nie robiłam mu wymówek! — wtrąciła. — To był mężczyzna niezwykle żywotny, który musiał prowadzić aktywny tryb życia. Nie chciałam go krępować.

— Nie była pani zazdrosna?

— Tylko początkowo. Później przyzwyczaiłam się. Myślę, że on mnie kochał...

Była niebrzydka, ale bez blasku, bez życia. Rysy raczej miękkie. Ciało delikatne. Elegancja powściągliwa. Z pewnością z wdziękiem częstowała przyjaciółki herbatą w ciepłym i wygodnym saloniku.

— Mąż często pani wspominał o swojej pierwszej żonie?

Żrenice skurczyły się. Próbowwała opanować gniew, ale zrozumiała, że Maigreta nie oszuka.

— Nie do mnie należy... — zaczęła.

— Przepraszam panią. Z uwagi na okoliczności zgonu nie może być mowy o delikatności uczuć.

— Chyba pan nie podejrzewa?...

— Nikogo nie podejrzewam. Usiłuję odtworzyć życie pani męża, jego otoczenie, jego postęпки i poczynania ostatniego wieczora. Czy pani wiedziała, że ta kobieta mieszka w domu, w którym mieściły się biura Coucheta?

— Owszem! On mi mówił...

— Jak się o niej wyrażał?

— Miał jej za złe... Potem wstydział się tego uczucia i udawał, że w gruncie rzeczy to kobieta nieszczęśliwa.

— Dlaczego nieszczęśliwa?

— Bo nic nie było w stanie jej zadowolić. No i...

— No i co?

— Domyśla się pan, co chcę powiedzieć. Ona jest bardzo interesowna. Krótko mówiąc, rzuciła Raymonda, bo nie dość zarabiał. A potem zobaczyła jak się wzbogacił A ona na domiar była żoną małego urzędniczyny!

— Nie próbowała?...

— Nie! Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek zwracała się do niego o pieniądze. Chociaż mąż na pewno by mi o tym nie powiedział. Wiem tylko, że spotkanie jej na placu des Vosges było dla niego istną męczarnią. Zdaje się, że ona specjalnie starała się stawać na jego drodze. Nie odzywała się do niego, ale obrzucała go wzgardliwym wzrokiem.

Komisarz nie mógł powstrzymać uśmiechu, wyobrażając sobie te spotkania pod sklepieniem bramy: Couchet, świeży i pachnący, wysiadający z samochodu, i pani Martin, napuszona, w czarnych rękawiczkach, z parasolką i torebką, o jadowitej twarzy.

— To wszystko, co pani wie?

— Mąż chciał zmienić lokal, ale w Paryżu trudno o laboratoria.

— Nie wie pani, oczywiście, o żadnych nieprzyjaciołach męża?

— Żadnych! Wszyscy go lubili. Był za dobry, dobry aż do śmieszności. On nie wydawał pieniędzy, on nimi szastał! A kiedy mu robiono wymówki, odpowiadał, że przez całe lata zbyt długo liczył się z każdym groszem i teraz może wreszcie pokazać gest.

— Często widywał się z pani krewnymi?

— Nie! To nie ten sam sposób myślenia, prawda? I nie te same upodobania...

W rzeczy samej, Maigret z trudem tylko mógł sobie wyobrazić Coucheta w tym salonie, w towarzystwie młodego adwokata, pułkownika i teściowej o dostojnych ruchach.

To wszystko było zrozumiałe.

Couchet był mężczyzną pełnokrwistym, potężnym, wulgarnym, który zaczynał od niczego, który przez trzydzieści lat życia klepiąc biedę gonił za powodzeniem.

I wzbogacił się. W Dinard udało mu się wreszcie wejść w towarzystwo, które nigdy by go do siebie nie dopuściło. Prawdziwa panienska, mieszczańska rodzina, herbata i ciasteczka, tenis i przyjęcia na wsi...

Więc ją poślubił! Żeby udowodnić sobie samemu, że teraz już mu wszystko wolno! Żeby zdobyć taki sam dom, jak te, które kiedyś oglądać mógł tylko przez szybę.

Poślubił ją także dlatego, że był pod wrażeniem rozsądnej, dobrze ułożonej panny.

I stąd ten apartament przy bulwarze Haussmanna, umeblowany w tradycyjnym guście.

Tylko że musiał gdzie indziej szukać ujścia dla swego temperamentu, musiał spotykać się z innymi ludźmi, rozmawiać bez konieczności kontrolowania samego siebie. W piwiarniach, w barach...

I musiał mieć inne kobiety!

Żonę bardzo kochał. I podziwiał. I szanował. Był pod jej urokiem.

Ale właśnie dlatego, że był pod jej urokiem, potrzebne mu były dla odprężenia dziewczyny proste, w rodzaju Niny.

Pani Couchet na końcu języka miała pytanie, ale wahała się, czy je zadać. Wreszcie zdecydowała się, spoglądając w inną stronę.

— Chciałam pana zapytać, czy... To delikatna sprawa!

Pan mi wybaczy! Wiem, że miewał przyjaciółki. Jeżeli w ogóle krył się z tym, to tylko przez delikatność. Muszę wiedzieć, czy z tej strony nie będzie kłopotów, skandalu...

Najwidoczniej wyobrażała sobie kochanki swego męża jako ladacznice ze starych romansów, albo jak filmowe wampy!

— Nie ma się pani czego obawiać — uśmiechnął się Maigret, wspomniawszy małą Ninę, jej niespokojną twarz i garść biżuterii, którą jeszcze tego samego popołudnia zaniósł do lombardu.

— Czy nie zajdzie potrzeba?

— Nie! Żadnych odszkodowań!

Była zdumiona. I chyba trochę zawiedziona, bo jeśli te kobiety niczego nie żądają, to przecież darzyły go chyba jakimś uczuciem! I wzajemnie...

— Czy ustaliła pani datę pogrzebu?

— Mój brat się tym zajmuje. We czwartek, w kościele Saint-Philippe-du-Roule.

Z przyległej jadalni dochodził brzęk sztućców. Pewnie nakrywano stół do kolacji?

— Pozostaje mi tylko podziękować pani i pożegnać się, raz jeszcze prosząc o wybaczenie...

A kiedy spacerował bulwarem Hausmanna, złapał się na tym, że nabijając fajkę zaklął:

— Ten cholerny Couchet!

Tak mu się to jakoś wypsnęło, jak gdyby Couchet był jego starym kumplem. Wrażenie było tak silne, że zdumiał się na samą myśl, że nigdy go przecież żywym nie widział.

Zdawało mu się, że go znał dosłownie w każdym calu.

Może to dlatego, że zdążył poznać jego trzy kobiety?

Najpierw pierwsza, córka cukiernika, która w mieszkaniu w Nanterre bolała na myśl, że jej mąż nigdy nie zdobędzie poważnego fachu.

Potem panienka z Dinard i drobne radości zaspokojonej miłości własnej, kiedy Couchet został bratankiem pułkownika.

Wreszcie Nina... Randki w Selekcie i hotel Pigalle.

I syn, który go naciągał na forszę! I pani Martin, czatująca pod sklepieniem bramy, może w nadziei obudzenia w nim wyrzutów sumienia.

Dziwny kres życia! Sam jeden, w gabinecie do którego starał się jak najrzadziej zaglądać. Oparty o przymkniętą kasę pancerną, z rękoma na biurku...

Nikt nic nie zauważył. Dozorczyni, przechodząc przez podwórze, przez cały czas widziała go przez matową szybę na tym samym miejscu. Ale przede wszystkim martwiła się o panią de Saint-Marc, która właśnie rodziła!

A na górze krzyczała wariatka! To znaczy, że stara Matylda na filcowych podszewkach czaiła się pod drzwiami korytarza...

Pan Martin w jasnobeżowym płaszczu zszedł na dół szukał rękawiczki koło śmietnika.

Jedno było pewne: ktoś był teraz w posiadaniu skradzionych trzystu sześćdziesięciu tysięcy franków!

I ktoś zabił!

Wszyscy mężczyźni to egoiści!" — mawiała pełna goryczy pani Martin ze zboląłą twarzą.

Czy to ona miała trzysta sześćdziesiąt tysięcy franków w nowiućkich banknotach, prosto z banku? Czy to ona dorwała się wreszcie do pieniędzy, do dużych pieniędzy, do całego pliku wielkich banknotów, reprezentujących lata wygodnego życia, bez troski o jutro i o rentę, którą otrzyma po śmierci Martina?

A może to Roger, zniewieściały, przeżarty eterem, razem z Celiną, którą wynalazł, aby odurzali się razem w lepkiej pościeli hotelowego łóżka?

Może Nina, albo pani Couchet?

W każdym razie było jedno miejsce, z którego wszystko było widać: mieszkanie państwa Martin.

I kobieta, która szwendała się po całym domu, przykładając ucho do każdych drzwi, powłócząc rozczłapany — mi pantoflami po korytarzach.

„Muszę złożyć wizytę starej Matyldzie” — pomyślał Maigret.

Ale kiedy nazajutrz rano przyszedł na plac des Vosges, dozorczyńni, sortując pocztę (wielki plik do pracowni szczepionek i tylko parę listów dla innych lokatorów), zatrzymała go:

— Pan idzie na górę do Martinów? Nie wiem, czy pan dobrze robi... Pani Martin tej nocy strasznie się rozchorowała. Trzeba było wezwać lekarza... Jej mąż lata jak oszalały.

Przez podwórze przechodzili pracownicy szczepionek, udający się do roboty w laboratorium i w biurach. W jednym z okien pierwszego piętra lokaj trzepał dywan.

Słysząc było płacz niemowlęcia i monotonne zawodzenie mamki.

VI. CZTERDZIEŚCI STOPNI GORĄCZKI

— Psst! Właśnie zasnęła... Ale proszę wejść!

Martin, zrezygnowany, usunął się z drogi. Pogodził się z myślą, że obcy zobaczy bałagan panujący w mieszkaniu. Pogodził się z myślą, że on sam pokazuje się w negliżu, ze zwisającymi pożółkłymi wąsami, co świadczyło, że zazwyczaj je farbował.

Nie spał całą noc. Był zmordowany, przestał reagować.

Na koniuszkach palców podszedł zamknąć prowadzące do sypialni drzwi, za którymi można było dojrzeć nogi łóżka i miskę stojącą na ziemi.

— Dozorczyni panu powiedziała?

Mówił szeptem, rzucając niespokojne spojrzenia w kierunku drzwi, jednocześnie zakręcał gazową kuchenkę, na której postawił kawę do odgrzania.

— Filiżaneczkę?

— Dziękuję. Nie chcę panu długo przeszkadzać. Przyszedłem zapytać, jak się miewa pani Martin.

— Bardzo to miłe z pańskiej strony — powiedział Martin z przekonaniem.

Naprawdę, nie dopatrywał się w tym żadnej złośliwości. Był tak wstrząśnięty, że zatracił wszelki zmysł krytyczny. A zresztą, czy go kiedykolwiek miał?

— Straszne są te ataki! Pozwoli pan, że przy panu napiję się kawy?

Zmieszał się, zauważywszy, że szelki dyndają mu po łydkach, pośpiesznie uporządkował strój, zdjął ze stołu walające się fiolki lekarstw.

— Często się to pani Martin zdarza?

— Nie... W każdym razie nie takie gwałtowne. Ona jest bardzo nerwowa. Podobno jako panna miewała ataki nerwowe co kilka dni.

— Teraz także?

Martin obrzucił go wzrokiem zbitego psa, z trudem odważył się wyznać:

— Muszę bardzo ją oszczędzać. Byle sprzeczką, a ona cała się gotuje...

W swym jasnobeżowym płaszczu, z dobrze wypomadowanymi wąsami, w skórzanych rękawiczkach, był przede wszystkim śmieszny. Karykatura drobnego urzędniczyny w pretensjach.

Ale teraz zarost stracił barwę, oczy były podkrążone. Nie zdążył nawet obmyć twarzy. Pod starą marynarką nosił jeszcze nocną koszulę.

Biedak! Maigret ze zdumieniem stwierdził, że ma co najmniej pięćdziesiąt pięć lat.

— Miała wczoraj wieczorem jakieś przykrości?

— Nie... nie...

Plątał się, rozglądając wokół ze strachem.

— Nie przyjmowała żadnych gości? Na przykład syna?

— Nie... Pan przyszedł. Potem jedliśmy kolację. Potem ...

— Co, potem?

— Nic... Nie wiem... To nastąpiło samo. Ona jest bardzo wrażliwa. Tyle przeszła nieszczęść w życiu!

Czy naprawdę wierzył w to co mówi? Maigret odniósł wrażenie, że mówi, żeby przekonać siebie samego.

— Krótko mówiąc, pan osobiście nie ma żadnego zdania na temat tej zbrodni?

Martin upuścił na ziemię filiżankę którą trzymał w ręku. Czyżby on też miał schorowane nerwy?

— Skąd ja mogę mieć zdanie? Przysięgam panu... Gdybym coś wiedział...

— Tak?

— Nie wiem... To straszne! I to właśnie w chwili, kiedy w biurze mamy tyle roboty... Dziś rano nie miałem nawet czasu uprzedzić szefa.

Dłonią przetarł twarz, potem zabrał się do zbierania z ziemi fajansowych skorup. Długo szukał ścierki, żeby przetrzeć podłogę.

— Gdyby mnie posłuchała, nie zostalibyśmy w tym domu...

Bał się, to było jasne. Rozkładał się ze strachu. Ale ze strachu przed czym, przed kim?

— Pan jest człowiekiem uczciwym, panie Martin, prawda? I przyzwoitym...

— Mam za sobą trzydzieści dwa lata służby i...

— Więc gdyby pan wiedział o czymś, co ułatwiłoby wymiarowi sprawiedliwości osiągnąć winnego, uważałby pan za swój obowiązek powiedzieć mi o tym?

Teraz chyba szczeka zębami!

— Na pewno powiedziałbym! Ale nic nie wiem... Sam chciałbym wiedzieć! To nie życie...

— Co pan sądzi o pańskim pasierbie? Zdumiony wzrok Martina spoczął na twarzy Maigreta.

— Roger? To...

— Tak, to wykolejeniec!

— Ależ przysięgam panu, że nie jest zły! To wszystko wina jego ojca. Moja żona zawsze powtarza, że nie należy młodym ludziom dawać tyle pieniędzy. Ma rację! I ja sądzę, jak ona, że Couchet nie robił tego ani z dobroci serca ani z miłości do syna, który był mu obojętny. Chciał się go tylko pozbyć, uciszyć własne sumienie...

— Sumienie?

Martin zarumienił się, coraz bardziej zakłopotany.

— Chodzi o krzywdy Julii — powiedział cichutko.

— Julii?

— Mojej żony. Jego pierwszej żony. Co on dla niej zrobił? Nic! Traktował ją jak służącą. A przecież to ona dopomagała mu w ciężkich chwilach. A później...

— Nic jej nie dawał, to prawda. Ale przecież ona wyszła ponownie za mąż...

Twarz Martina oblała się szkarłatem. Maigret przyglądał mu się ze zdumieniem, z współczuciem. Zrozumiał bowiem, że ten poczciewicz nie ma nic wspólnego z tą zadziwiającą teorią. Powtarzał tylko to, co setki razy wysłuchiwać musiał od swojej żony.

Couchet był bogaty, ona biedna. No więc! Ale urzędnik nadstawił ucha.

— Nic pan nie słyszał?

Przez chwilę zachowywali milczenie. Z sąsiedniego pokoju dochodziło przytłumione wołanie. Martin podszedł i otworzył drzwi.

— Co ty tam opowiadasz? — spytała pani Martin.

— Ależ... ja...

— To komisarz, prawda? Czego znów chce?

Maigret jej nie widział. Głos był bardzo niskim głosem kobiety leżącej, ale zachowującej zimną krew.

— Pan komisarz przyszedł zapytać o twoje zdrowie...

— Poproś go, żeby wszedł. Chwileczkę! Podaj mi wilgotny ręcznik i lustro. I grzebień!

— Znów się zdenerwujesz...

— Trzymaj — że to lustro prosto! Nie, raczej opuść. Nie potrafisz nawet... Zabierz tę miskę! Ci mężczyźni... Kiedy zbraknie kobiety, w domu wygląda jak w chlewie! Teraz proś...

Podobnie jak jadalnia, był to pokój ponury i smutny, źle umeblowany, z mnóstwem starych kotar, starych tkanin, wyblakłych dywaników. Od drzwi Maigret poczuł wycelowany w siebie wzrok pani Martin — spokojny, nadzwyczaj przytomny.

Zauważył jak na wynędzniałej twarzy wykwitł mdławy, chorobliwy uśmiezek.

— Proszę nie zwracać uwagi — powiedziała — wszędzie jest okropny bałagan. To przez ten atak...

Smutno rozejrzała się wokół.

— Ale już mi lepiej. Do jutra muszę wyzdrowieć, ze względu na pogrzeb. Jutro, prawda?

— Tak, jutro. Pani często miewa takie ataki?

— Jeszcze kiedy byłam panną... Ale moja siostra...

— Pani ma siostrę?

— Miałam dwie. Ale niech pan sobie nic nie pomyśli... Młodsza także miewała takie ataki. Wyszła za męża. Jej mąż był łajdakiem i pewnego pięknego dnia skorzystał z jednego z takich ataków, żeby ją zamknąć... Umarła w tydzień później.

— Nie denerwuj się! — błagał Martin, który nie wiedział, ani gdzie się podziać, ani gdzie zwrócić oczy.

— Pomieszanie zmysłów? — zapytał Maigret. Rysy twarzy chorej znów stężały, głos wezbrał złością.

— To tylko jej mąż chciał się jej pozbyć! Ledwie sześć miesięcy minęło, a już ożenił się z inną. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Można się dla nich poświęcać, zabijać się...

— Błagam cię! — westchnął mąż.

— Nie mówię o tobie! Choć i ty nie jesteś lepszy od innych...

Nieoczekiwanie Maigret wyczuł jakieś fluidy nienawiści. To trwało krótko, było niewyraźne. Ale mimo wszystko był pewien, że się nie pomylił.

— Co nie przeszkadza, że gdyby mnie tam nie było... — ciągnęła dalej.

Czy w jej głosie nie wyczuwał groźby? Mąż poruszał się niby w próżni. Zmieszany, zaczął liczyć krople lekarstwa, kapiąc je jedna po drugiej do kieliszka.

— Lekarz powiedział... — Gwiżdżę na lekarza!

— Ale przecież musisz... Proszę! Pij powoli. To nie jest takie złe.

Spojrzała na niego, potem na Maigreta i wreszcie wypięła, ze zrezygnowanym wzruszeniem ramion.

— Chyba nie przyszedł pan po to, żeby się dowiedzieć jak się czuję? — zapytała nieufnie.

— Wybierałem się do laboratorium, kiedy dozorczyzni pani powiedziała...

— Wykrył pan coś?

— Jeszcze nie.

Przymknęła oczy, dając do zrozumienia, że jest zmęczona. Martin spojrzał na Maigreta, który wstawał z miejsca.

— No więc życzę pani rychłego powrotu do zdrowia. Już się pani lepiej czuje...

Nie zatrzymywała go. Maigret nie pozwolił, by Martin go odprowadził.

— Niech pan zostanie przy niej, bardzo proszę... Biedak! Można by pomyśleć, że boi się zostać, że uczeplił się komisarza, bo kiedy jest ktoś trzeci, to nie jest takie straszne.

— Przekona się pan, że to nic poważnego...

Przechodząc przez jadalnię, usłyszał szelest w korytarzu. Dogonił starą Matyldę w chwili gdy miała już skryć się u siebie.

— Dzień dobry pani!

Spojrzała na niego z lękiem, nie odpowiadając, z dłonią na klamce drzwi.

Maigret mówił półgłosem. Domyślał się, że pani Martin nadstawia uszu, że gotowa jest nawet wstać, by także podsłuchiwać pod drzwiami.

— Jak pani z pewnością wiadomo, jestem komisarzem prowadzącym śledztwo...

Już odgadł, że niczego się nie dowie od tej kobiety o twarzy pozbawionej wyrazu i okrągłej jak księżyc w pełni.

— Czego pan ode mnie chce?

— Po prostu spytać, czy nic mi pani nie ma do powiedzenia. Od dawna mieszka pani w tym domu?

— Od czterdziestu lat — odpowiedziała oschle.

— Zna pani wszystkich...

— Nie rozmawiam z nikim!

— Pomyślałem sobie, że może pani coś usłyszała. Czasem najdrobniejsza poszlaka wystarczy, by skierować wymiar sprawiedliwości na właściwy trop.

Wewnątrz pokoju coś się poruszyło. Ale stara z uporem trzymała drzwi zamknięte.

— Nic pani nie widziała? Nie odpowiadała.

— I nic panie nie słyszała?

— Niech pan lepiej powie gospodarzowi, żeby mi zainstalował gaz...

— Gaz?

— Wszyscy w domu mają gaz. Ale mnie odmawia, bo nie ma prawa podwyższyć mi komornego. On mnie chce wrzucić, robi wszystko, żebym się wyniosła! Ale prędej jego wyniosą, i to nogami do przodu! Może mu pan to powiedzieć w moim imieniu.

Drzwi uchyliły się tak wąsko, iż wydawało się niepodobieństwem, by przecisnęła się przez nie ta tęga kobieta. Ale potem zamknęły się i z pokoju dochodziły już tylko stłumione odgłosy.

*

— Ma pan wizytówkę?

Lokaj w pasiastej kamizelce wziął kartonik, który mu podał Maigret i znikł w głębi apartamentu, nadzwyczaj jasnego dzięki oknom pięciometrowej wysokości, jakie dziś widzi się już tylko w starych domach przy placu des Vosges i na Wyspie św. Ludwika.

Pokoje były ogromne. Gdzieś warczał elektryczny odkurzacz. Mamka w białym fartuchu, z zalotną, błękitną przepaską we włosach, przeszła z pokoju do pokoju, rzucając ciekawe spojrzenia na gości.

Nagle głos, tuż w pobliżu:

— Poproście pana komisarza.

Pan de Saint-Marc siedział w swoim gabinecie w szlafroku, srebrzyste włosy były starannie przyczesane. Najpierw poszedł zamknąć drzwi, za którymi Maigret zdążył dostrzec stylowe łoże i twarz kobiety na poduszce.

— Proszę, zechce pan się... Chce pan oczywiście pomówić ze mną o tej okropnej historii z Couchetem?

Mimo wieku, stwarzał wrażenie siły, zdrowia. W mieszkaniu panował nastrój rodzinnego szczęścia, domu w którym wszystko jest jasne i wesołe.

— Ta tragedia tym mocniej mnie wzburzyła, że rozegrała się w chwili ogromnie dla mnie wzruszającej...

— Zdaję sobie z tego sprawę.

W oczach byłego ambasadora zabłysła iskierka dumy. Chełpił się, że w tym wieku doczekał się dziecka.

— Poproszę pana o zniżenie głosu, gdyż wolałbym ukryć tę historię przed panią de Saint-Marc. W jej stanie byłoby rzeczą pożałowania godną... Ale do rzeczy, o co chciał mnie pan spytać? Coucheta nie znałem prawie wcale. Dwa czy trzy razy zauważyłem go w przejściu, na podwórzu. Należał do jednego z klubów, gdzie ja bywam od czasu do czasu, do Klubu Haussmanna, ale chyba nigdy tam jego noga nie postąpiła. Zwróciłem tylko uwagę na jego nazwisko w wydanym niedawno roczniku. Mam wrażenie, że był dość wulgarny, prawda?

— Owszem, jeśli to ma znaczyć, że pochodził z ludu. Niełatwo mu chyba było dojść do tego, do czego doszedł.

— Żona mi mówiła, że poślubił pannę z bardzo dobrego domu, jej dawną przyjaciółkę z pensji. Dodatkowy powód, żeby jej nie wtajemniczać... A więc pan sobie życzy?

Przez wielkie okna widać było cały plac des Vosges, skąpany w lekkich promieniach słońca. Na skwerze ogrodnicy polewali trawniki i klomby kwiatów. Ciężko przetaczały się ciężarówki.

— Chodzi mi o prostą informację. Dowiedziałem się, że zdenerwowany czekaniem na to szczęśliwe wydarzenie co jest zresztą zupełnie zrozumiałe, parokrotnie przechadzał się pan tam i z powrotem po podwórzu. Czy nie spotkał pan nikogo? Nie widział pan nikogo kierującego się ku biurom w głębi podwórza?

Pan de Saint–Marc zastanowił się, nie przestając bawić się nożem do papieru.

— Chwileczkę! Nie, nie sądzę... Muszę przyznać, że byłem czym innym zaabsorbowany. To raczej dozorczyńni...

— Dozorczyńni nie wie nic.

— A ja... Nie! Chociaż... Ale to chyba nie pozostaje w żadnym związku...

— Proszę mimo to powiedzieć.

— W pewnej chwili usłyszałem jakiś hałas w okolicy śmietnika. Nie miałem nic lepszego do roboty, więc podszedłem i zobaczyłem lokatorkę z drugiego piętra...

— Panią Martin?

— Zdaje się, że tak się właśnie nazywa. Przyznam, że słabo znam moich sąsiadów. Grzebała w jednym z blaszanych pojemników. Przypominam sobie, że mi powiedziała: „Srebrna łyżeczka wypadła przez nieuwagę do śmieci”, a ja zapytałem „Znalazła ją pani?”. Odpowiedziała dość żywo: „Tak, tak”.

— A potem? — zapytał Maigret.

— Potem wróciła do siebie na górę, szybkimi krokami. To bardzo nerwowa osóbką, która zawsze sprawia wrażenie jak gdyby biegła. Jeśli sobie przypominam, nam też zdarzyło się w podobny sposób zgubić wartościowy pierścionek. I co najciekawsze, zwrócił go dozorczyńni szmaciarz, który znalazł go w czasie sortowania odpadków.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, o której godzinie zaszedł ten incydent?

— Trudno będzie... Zaraz... Nie miałem ochoty na kolację, ale około wpół do dziewiątej Albert, mój lokaj, namawiał mnie żebym coś przekąsił. A ponieważ nie chciałem sięść do stołu, przyniósł mi do salonu kanapki z anchois. To było przedtem...

— Przed wpół do dziewiątą?

— Tak. Przypuśćmy, że ten incydent, jak pan go nazywa, miał miejsce krótko po ósmej. Ale nie sądzę, by to miało jakiegokolwiek znaczenie. Co pan sądzi o tej całej historii? Jeśli o mnie idzie, nie chcę uwierzyć, że — jak to ostatnio rozeszła się plotka — zbrodnię popełnić miał ktoś z mieszkańców domu. Proszę pamiętać, że na podwórze przyjść może każdy. Zwrócę się zresztą do gospodarza z żądaniem, żeby bramę zamykać o zmierzchu...

Maigret podniósł się.

— Ja nie mam jeszcze zdania — powiedział. Dozorczyńni przyniosła pocztę, a ponieważ drzwi przedpokoju pozostawały otwarte, zobaczyła nagle komisarza w serdecznej rozmowie z panem de Saint–Marc.

Zacna pani Bourcier! Była tym spotkaniem zupełnie zbulwersowana. Jej wzrok zdradzał niezmierną głębię strachu.

Czyżby Maigret pozwolił sobie podejrzewać państwo Saint–Marc? Albo choćby tylko niepokoić ich swoimi pytaniami?

— Bardzo panu dziękuję. I zechce pan wybaczyć to najście.

— Może cygaro?

Pan de Saint–Marc był prawdziwie wielkim panem, ale jego lekko protekcyjnalna poufałość przypominała nie tyle dyplomatę, co polityka.

— Jestem zawsze do pańskiej dyspozycji.

Lokaj zamknął drzwi. Maigret schodził po schodach powoli, znalazł się na podwórzu, gdzie goniec jednego z wielkich magazynów daremnie szukał dozorczyńni. W portierni był tylko pies, kot i dwoje dzieci, zajętych wzajemnym smarowaniem się mleczną zupą.

— Mamusi nie ma?

— Zaraz wróci, psze pana. Poszła zanieść pocztę. W wstydliwie ukrytym rogu podwórza, nie opodal portierni, znajdowały się trzy blaszane pojemniki, do których po zapadnięciu nocy lokatorzy kolejno wrzucali śmiecie i domowe odpadki. O szóstej rano dozorczyńni otwierała bramę wjazdową i pracownicy zakładu oczyszczania miasta wywracali kubły na ciężarówkę. Wieczorami ten zakątek nie był oświetlony. Jedyna na podwórzu lampa znajdowała się po przeciwległej stronie, u wejścia na schody.

Czego szukała pani Martin o tej samej z grubsza porze, kiedy Couchet został zabity?

Czy i jej przyszło do głowy odzyskać rękawiczkę męża?

„Nie” — pomyślał Maigret, któremu coś się właśnie przypomniało — „Martin śmiecie zniósł znacznie później”.

No więc co to za historia? Nie mogło przecież chodzić o wyrzuconą łyżeczkę! Za dnia lokatorom nie wolno było nic wrzucać do pustych pojemników!

Czego więc tam oboje kolejno szukali?

Pani Martin grzebała nawet w samym kubie!

A rękawiczka znalazła się nazajutrz rano!

— Widział pan bobasa? — rozległ się głos za plecami Maigreta.

To dozorczyńni, która o dziecku państwa de Saint-Marc mówiła z czułością większą, niż o swoich własnych.

— Ale pani nic pan przynajmniej nie mówił? Ona nie powinna wiedzieć...

— Wiem! Wiem!

— W sprawie wieńca... Mówię o wieńcu od lokatorów. Zastanawiam się, czy posłać go już dziś do domu żałoby, czy też obyczaj nakazuje złożyć go dopiero w czasie samego pogrzebu... Pracownicy firmy też bardzo ładnie się znaleźli. Zebrali ponad trzysta franków...

I zwracając się do gońca:

— Do kogo?

— Saint-Marc!

— Drzwi po prawej. Pierwsze piętro, na wprost. Tylko dzwonić delikatnie!

Po czym do Maigreta:

— Nie ma pan pojęcia, ile dostała kwiatów! Już nie wiedzą nawet gdzie je kłaść. Większość trzeba było rozmieścić po pokojach służby. Pan wchodzi? Jojo, zostawisz wreszcie siostrzyczkę w spokoju!

Komisarz ciągle oglądał śmietnik. Cóż, u diabła, Martinowie mogli tam schować?

— Czy każdego ranka pani zgodnie z przepisami wystawia pojemniki na chodnik?

— Nie! Od kiedy owdowiałam, to jest niemożliwe. To znaczy, musiałabym kogoś najać, bo dla mnie są za ciężkie. Ci z zakładu oczyszczania są bardzo sympatyczni. Od czasu do czasu częstują ich lampką wina, więc sami przychodzą po kubły na podwórze.

— To znaczy, że szmaciarze nie mogą tu grzebać?

— To się panu tylko zdaje! Oni też wchodzi na podwórze. Czasem jest ich trzech czy czterech i zostawiają taki piekielny bałagan...

— Dziękuję pani.

I Maigret poszedł sobie zamyślony, zapominając albo rezygnując z zamierzonych odwiedzin w biurze.

Kiedy przyszedł na nabrzeże des Orfèvres, powiedziano mu:

— Ktoś do pana telefonował. Jakiś pułkownik... Ale Maigret trzymał się swojej koncepcji. Otwierając drzwi do pokoju inspektorów, zawołał:

— Lucas! Natychmiast w drogę! Przepytasz wszystkich szmacciarzy, którzy mają zwyczaj kręcić się w okolicy placu des Vosges. W razie potrzeby pójdziesz aż do zakładów w Saint-Denis, gdzie spalają odpadki...

— Ależ...

— Muszę wiedzieć, czy przedwczoraj rano nie zauważyli nic nadzwyczajnego w kubłach na śmiecie przy placu des Vosges numer 61.

Kiedy opadał na fotel, przypomniało mu się jedno słowo: pułkownik.

Jaki pułkownik? Nie znał żadnego pułkownika.

Choć nie, jeden był w tej sprawie! Stryj pani Couchet Czego ten mógł chcieć?

— Halo! ELY 17-62? Tu komisarz Maigret, z policji kryminalnej. Słucham? Pułkownik Dormoy chciał ze mną mówić? Tak, czekam przy aparacie. Halo! To pan, panie pułkowniku? Co? Testament? Bardzo źle pana słyszę... Nie, przeciwnie, proszę mówić ciszej. Może się pan odsunie nieco od słuchawki. Teraz lepiej! No i co? Znalazł pan niesłychany testament? Nawet nie zapieczętowany! Zgoda, za pół godziny będę na miejscu. Ależ nie, nie ma potrzeby, bym brał taksówkę...

I odsuwając fotel, założył nogę na nogę i zapalił fajkę.

VII. TRZY ŻONY

— Pan pułkownik oczekuje pana w swoim pokoju. Proszę za mną.

Zaimprovizowana kaplica była zamknięta. Jakież odgłosy dochodziły z sąsiedniego pokoju, zajmowanego prawdopodobnie przez panią Couchet. Służąca pchnęła drzwi, a Maigret ujrzał pułkownika stojącego przy stole, z dłonią lekko opartą o blat, z uniesionym podbródkiem, godnego i spokojnego jak gdyby pozował rzeźbiarzowi.

— Zechce pan zająć miejsce.

Tylko, że to nie robiło żadnego wrażenia na Maigrecie, który nie siadł, poprzestał na rozpięciu ciężkiego płaszcza, na położeniu melonika na jednym z krzeseł i na nabiciu fajki.

— Czy to pan znalazł ten testament? — zapytał wreszcie rozglądając się wokół z zainteresowaniem.

— Owszem, ja sam. Dziś rano. Moja bratanica o niczym jeszcze nie wie. Muszę powiedzieć, że jest to tak oburzające...

Dziwny pokój, zupełnie jak Couchet! Wprawdzie meble były stylowe, jak w całym mieszkaniu, kilka było przedmiotów wartościowych, ale sąsiadowały z nimi przedmioty zdradzające prymitywne upodobania poczciwca. Pod oknem stół, jako tako zastępujący biurko Maigret zwrócił uwagę na tureckie papierosy i tuż obok istny zbiór fajek z wiśniowego drzewa, które kosztują parę groszy, a które Couchet najwidoczniej opalał z zamiłowaniem. I ten purpurowy szlafrok! Niczego bardziej krzyczącego na pewno nikt by nie znalazł. Przy łóżku stały kapcie o dziurawych podeszwach.

W stole była szuflada.

— Proszę zwrócić uwagę, że nawet nie była zamknięta na klucz! — powiedział pułkownik. — Nawet nie wiem, czy taki klucz istnieje. Dziś rano moja bratanica potrzebowała pieniędzy na zapłacenie rachunku i chciałem zaoszczędzić jej podpisywania czeków. Szukałem w tym pokoju i oto co znalazłem...

Koperta z nadrukiem Grand-Hotelu. Lekko wyblakły papier listowy z tym samym adresem. Tekst sprawiał wrażenie pisanego od niechcienia, tak jak się sporządza brulion.

„Oto mój testament...”

I dalej niespodziewane zdanie:

„Ponieważ bez wątpienia zapomnę poinformować się o prawach spadkowych, proszę mego notariusza, mecenasa Dampierre’a, by uczynił wszystko co w jego mocy, aby mój majątek został możliwie równo podzielony pomiędzy:

1. moją żonę Germaine, z domu Dormoy;
2. moją pierwszą żonę, secundo voto Martin, zamieszkałą przy placu des Vosges 61;
3. Ninę Moinard, zamieszkałą w hotelu Pigalle przy ulicy Pigalle

*

— Co pan o tym sądzi?

Maigret był zadowolony. Ten testament sprawił, że Couchet stał mu się jeszcze sympatyczniejszy.

— Oczywiście — ciągnął dalej pułkownik — taki testament nie trzyma się kupy. Zawiera sam już nie wiem ile podstaw do anulowania jego ważności i natychmiast po pogrzebie zakwestionujemy go. Jeśli jednak uznałem go za interesujący i chciałem pilnie o tym z panem pomówić, to dlatego...

Maigret ciągle się uśmiechał, jak gdyby asystował przy doskonałej komedii. Nawet ten papier z Grand Hotelu! Jak wielu ludzi interesu, którzy nie posiadają biur w śródmieściu, Couchet zapewne często tam wyznaczał spotkania. A więc czekając na kogoś,

prawdopodobnie w hallu lub w palarni, sięgnął po przybory do pisania i nagryzmolił tych kilka linijek.

Nawet nie zakleił koperty! Wrzucił wszystko do szuflady, pozostawiając na później kłopoty ze zredagowaniem testamentu według wszelkich reguł sztuki.

Od tego czasu minęły dwa tygodnie.

— To musiało pana zaskoczyć, istna potworność! — mówił pułkownik — Couchet po prostu zapomniał o synu! Już to jedno wystarczy, aby dokument unieważnić i...

— Pan zna Rogera?

— Ja? Nie...

Maigret ciągle się uśmiechał.

— Powiedziałem przed chwilą, że prosiłem pana o przyjście, ponieważ...

— A Ninę Moinard pan zna?

Pułkownik podskoczył, jak gdyby ktoś mu nastąpił na odcisk.

— Nie muszę jej znać! Już sam adres, ulica Pigalle, wystarczy, żeby się domyśleć... Ale co ja mówiłem? Aha, tak, więc widział pan datę testamentu? Bardzo niedawna... Couchet zmarł w dwa tygodnie po napisaniu, został zabity... Przypuśćmy, że jedna z dwóch wspomnianych tu kobiet wiedziała o tych dyspozycjach... mam podstawy przypuszczać, że żadna z nich nie jest bogata...

— Dlaczego dwie kobiety?

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— Trzy kobiety! Testament wspomina o trzech kobietach. O trzech, jeśli pan woli, żonach Coucheta!

Pułkownik doszedł wreszcie do wniosku, że Maigret żartuje.

— Ja mówię poważnie — rzekł z godnością. — Proszę nie zapominać, że w domu leży nieboszczyk! I że w grę wchodzi przyszłość kilku osób.

Jasne! Co nie przeszkadza, że komisarzowi chciało się śmiać. Sam nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego.

— Dziękuję panu, że mnie pan powiadomił... Pułkownik był zawiedziony. Nie mógł pojąć takiej postawy ze strony wysokiego funkcjonariusza policji.

— Spodziewam się, że...

— Do widzenia, panie pułkowniku. Proszę przekazać wyrazy szacunku pani Couchet.

Na ulicy nie mógł się powstrzymać, żeby nie wymamrotać:

— Ten cholerny Couchet!

Na zimno, jak gdyby nigdy nic, umieścił swoje trzy żony w testamencie! Nie wyłączając pierwszej, która później została panią Martin i która nieustannie wyrastała mu na drodze, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem, jak żywy wyrzut sumienia! Nie wyłączając dzielnej, małej Niny, która, jak mogła, starała się go rozerwać!

Zapomniał natomiast o synu!

Przez dłuższą chwilę Maigret zastanawiał się, komu najpierw zawieść tę nowinę. Pani Martin, którą ten majątek niechybnie wyciągnie z łóżka? Czy Ninie? Po mału, jeszcze wróbel jest na dachu... Taka historia może się ciągnąć całymi latami. Zaczną się procesować. Pani Martin na pewno nie popuści! Inna sprawa, że pułkownik okazał się uczciwy. Mógł przecież testament spalić i nikt by się o niczym nigdy nie dowiedział...

Maigret, wesolutki, poszedł pieszo przez dzielnicę Europę. Powietrze ociepliło się dzięki bladnoróżowemu słońcu. Pachniało radością życia.

— Ten cholerny Couchet!

W hotelu Pigalle nikogo o nic nie pytając wszedł do windy i po paru chwilach pukał do pokoju Niny. Usłyszał odgłos kroków. Drzwi uchyliły się na tyle tylko, by przepuścić dłoń, która zawisła w powietrzu.

Dłoń kobieca, już pomarszczona. Ponieważ Maigret stał bez ruchu, dłoń zaczęła się niecierpliwić, potem pokazała się twarz starej Angielki i rozpoczęło się długie niezrozumiałe przemówienie.

Maigret domyślił się jedynie, że Angielka czekała na listy, i to tłumaczyło jej gest. Najbardziej jednak oczywiste było to, że Nina nie zajmowała już tego pokoju, z pewnością w ogóle wyprowadziła się z hotelu. „Za drogi dla niej teraz” — pomyślał i z wahaniem zatrzymał się przy sąsiednich drzwiach. Jego wątpliwości rozstrzygnął służący, pytając nieufnie:

— Pan kogoś szuka?

— Pana Coucheta.

— Nie odpowiada?

— Jeszcze nie pukalem.

Maigret znów się uśmiechnął. Był dziś w doskonałym humorze. Tego ranka odniósł nagle uczucie, że bierze udział w istnej komedii! Całe życie to jedna komedia! Śmierć Coucheta była komedią, a przede wszystkim jego testament...

— Proszę!

Zamek drgnął. Po wejściu do pokoju Maigret przede wszystkim odsłonił firanki i szeroko otworzył okno.

Celina nawet się nie zbudziła. Roger przecierał oczy i ziewał.

— A, to pan...

Jakiś postępek był: pokój nie śmierdział już eterem. Ubranie leżało na ziemi, zwalone na kupkę.

— Czego pan chce?

Usiadł na łóżku, sięgnął po szklankę wody na nocnym stoliku i wychylił ją duszkiem.

— Odnaleziono testament! — oświadczył Maigret, przykrywając nagie udo Celiny, która leżała skulona w kłębek.

— I co z tego!

Roger nie zdradzał żadnego podniecenia, ledwie słabe zainteresowanie.

— Co z tego? To bardzo dziwny testament. Na pewno dużo jeszcze upłynie atramentu, a prawnicy zarobią masę forsy. Niech pan sobie wyobrazi, że pański ojciec cały majątek zapisał swoim trzem żonom!

Młody człowiek z wyraźnym wysiłkiem próbował zrozumieć.

— Trzem...!

— Tak! Aktualnej ślubnej żonie. Pańskiej matce. I swojej przyjaciółce Ninie, która jeszcze wczoraj była pańską sąsiadką w hotelu. Poleciał notariuszowi załatwić sprawę tak, aby każda z nich dostała równą część.

Roger ani drgnął. Wyglądało, że się zastanawia. Ale, że zastanawia się nad sprawę, która jego osobiście nie dotyczy.

— To ci heca! — powiedział wreszcie głosem poważnym, kontrastującym z jego słowami.

— Dokładnie to samo powiedziałem pułkownikowi.

— Jakiemu pułkownikowi?

— Stryjowi pani Couchet. On reprezentuje jej rodzinę.

— Teraz musi mu być łyso!

— Właśnie.

Młody człowiek spuścił nogi z łóżka, sięgnął po spodnie przewieszzone na oparciu krzesła.

— Nie wygląda pan na człowieka, na którym ta wiadomość zrobiła wrażenie.

— No wie pan, cóż ja...

Zapiął spodnie, poszukał grzebienia, zamknął okno przez które wdzierало się zbyt świeże powietrze.

— Pan nie potrzebuje pieniędzy?

Maigret nagle spowaźniał. Jego wzrok stał się ciężki, dociekliwy.

— Czy ja wiem?

— Nie wie pan, czy potrzebne panu pieniądze?

Roger obrzucił komisarza mętnym wzrokiem i Maigret nagle poczuł się nieswojo.

— G... mnie to obchodzi!

— Nie zarabia pan za dużo.

— Nie zarabiam ani grosza!

Ziewnął, z ponurą miną przejrzał się w lusterku. Maigret zauważył, że Celina się obudziła. Nie poruszyła się nawet, ale musiała słyszeć część rozmowy, gdyż z ciekawością przyglądała się obu mężczyznom.

Ale i jej potrzebna była szklanka wody! Atmosfera tego pokoju, panujący tu nieład, stęchły zaduch, dwoje ludzi wytraconych z równowagi, to wszystko wyglądało jak uosobienie rezygnacji z życia.

— Ma pan oszczędności?

Roger zaczynał — mieć dość tej rozmowy. Przeszukał marynarkę, wyjął cienki portfel ze swoimi inicjałami, rzucił Maigretowi.

— Niech pan poszuka!

Dwa banknoty stufrankowe, trochę drobnych, prawo jazdy i stary numerok z szatni.

— Co ma pan zamiar robić, jeśli zostanie pan pozbawiony spadku?

— Nie chcę żadnego spadku!

— Nie będzie pan kwestionował testamentu?

— Nie!

Dziwnie to zabrzmiało. Maigret, który wzrok miał wbity w dywan, uniósł głowę.

— Trzysta sześćdziesiąt tysięcy franków wystarczą panu?

Teraz postawa młodego człowieka uległa zmianie. Podeszedł do komisarza, zatrzymał się niespełna o krok, tak że dotykali się ramionami. Z zaciśniętymi pięściami wyjąkał:

— Powtórz!

W tej chwili w jego zachowaniu było coś z łobuza. Zapachniało przedmieściem, rozróbą w knajpie.

— Pytałem pana, czy trzysta sześćdziesiąt tysięcy franków Coucheta panu wyst...

Ledwie zdążył powstrzymać w locie ramię swego rozmówcy. Gdyby nie to, zainkasowałby jeden z najpiękniejszych ciosów pięściarskich w całej swojej policyjnej karierze!

— Niech się pan uspokoi!

Otóż to, Roger był spokojny! Nie szarpał się. Był blady. Wzrok miał wbity w jeden punkt. Czekał, aż komisarz zechce go puścić.

Żeby uderzyć jeszcze raz? Tymczasem Celina, choć prawie naga, wyskoczyła z łózka. Czulo się, że gotowa jest otworzyć drzwi i wzywać pomocy.

Wszystko minęło spokojnie. Maigret tylko przez parę sekund przytrzymał jego pięść, ale kiedy mu zwrócił swobodę ruchów, młody człowiek ani drgnął.

Zapanowało długie milczenie. Można było pomyśleć że wszyscy troje boją się je przerwać, jak w czasie bójki' kiedy każdy waha się, czy uderzyć pierwszy.

Wreszcie odezwał się Roger.

— Trafia pan, jak kulą w płot!

Podniósł z ziemi fioletowy szlafrok i rzucił go swojej towarzyszce.

— Może zechce mi pan powiedzieć, co zamierza pan robić kiedy wyda już te dwieście franków?

— A co robiłem do tej pory?

— Drobną różnicą: pański ojciec nie żyje i nie będzie go pan mógł więcej naciągać na forszę.

Roger wzruszył ramionami z taką miną, jak gdyby chciał powiedzieć, że jego rozmówca nic nie rozumie.

Zapanowała atmosfera trudna do określenia. Ściśle mówiąc, żadnej tragedii. To było co innego, jakiś dojmujący ból. Może nastrój cyganerii, tyle że bez poezji? Może ten portfel i te dwa stufrankowe banknoty...

Albo ta niespokojna kobieta, która właśnie przed chwilą uświadomiła sobie, że dzień jutrzejszy nie będzie podobny do poprzednich, że będzie zmuszona szukać nowego oparcia...

Chyba nie! To sam Roger wzbudzał niepokój! Bo jego postęпки i gesty nie zgadzały się z jego przeszłością, klóciły się z tym, co Maigret wiedział o jego dotychczasowej karierze.

Ten spokój... To wcale nie była poza! Naprawdę był spokojny, spokojny, jak ktoś kto...

— Niech mi pan da swój rewolwer! — powiedział nagle Maigret.

Młody człowiek wyciągnął broń z kieszeni spodni i z lekkim uśmiechem podał ją komisarzowi.

— Przyrzeka pan, że...

Nie skończył, bo zauważył, że kobieta gotowa jest krzyczeć ze strachu. Nic nie rozumiała, ale czuła, że dzieje się coś niedobrego.

W oczach Rogera dojrzał błysk ironii.

To była prawie ucieczka. Maigret nie miał więcej nic do powiedzenia, nie potrafił wydusić żadnego gestu, wreszcie ruszył do odwrotu. Wychodząc, potknął się o futrynę drzwi i zmełł przekleństwo.

Na ulicy stracił swój poranny dobry humor. Teraz nie potrafił dopatrzeć się w życiu niczego komicznego. Podniósł głowę, by spojrzeć w okno pokoju zajmowanego przez tę parę. Było zamknięte, nie zobaczył nic.

Czuł się nieswojo, jak ktoś, kto nagle przestał cokolwiek rozumieć.

Przypomniał sobie dwa lub trzy spojrzenia Rogera... Nie potrafił ich sobie wytłumaczyć! Ale cóż, z pewnością nie były to spojrzenia, których mógł się spodziewać... Te spojrzenia nie harmonizowały z całą resztą!

Zawrócił na pięcie, bo zapomniał dowiedzieć się w hotelu o nowy adres Niny.

— Nie mam pojęcia! — powiedział portier. — Zapłaciła za pokój, zabrała rzeczy i poszła. Taksówka nie była jej potrzebna. Pewnie znalazła tańszy hotel w tej samej dzielnicy...

— Słuchaj pan! Gdyby... gdyby coś się tu stało... Tak coś nieoczekiwanego... Niech mnie pan zawiadomi osobiście, w centrali policji kryminalnej. Tak, komisarz Maigret...

Był zły na siebie za tę prośbę. Cóż mogło się stać? Ale to nie przeszkadzało mu ciągle myśleć o dwóch stufrankowych banknotach w portfelu i o przestraszonym spojrzeniu Celiny.

W kwadrans później wchodził do Moulin-Bleu przez wejście dla personelu. Widownia była pusta, obskurna, fotele i brzegi łóż pokryte zieloną lustryną.

Na scenie sześć kobiet, zziębniętych choć w płaszczach. Bez przerwy ćwiczyły ten sam krok — krok śmiesznie prosty, a niski tłuszczoszek wydzierał się do zachrypnięcia, wykrzykując jakąś melodyjkę.

— Raz!... Dwa!.., trala la la... Nie, źle!... tra la la la... Trzy!... Trzy, do jasnej...

Nina była drugą z dziewcząt. Poznała Maigreta gdy stanął pod jednym z filarów. Mężczyzna też go zauważył, ale jemu było wszystko jedno.

— Raz!... Dwa!... tra la la la...

Wszystko to trwało kwadrans. Było tu chłodniej niż na dworze i Maigret czuł, że nogi mu lodowacieją. Wreszcie grubasek otarł czoło i zamiast pożegnania rzucił jakieś przekleństwo pod adresem całego zespołu.

— Do mnie? — z daleko zawołał do Maigreta.

— Nie! Do...

Podeszła Nina, zażenowana, zastanawiając się, czy ma podać komisarzowi rękę.

— Mam dla pani ważną wiadomość.

— Nie tutaj. Nie wolno nam przyjmować gości w teatrze. Tylko wieczorem, bo to robi kasę...

Siedli przy stoliku w małym barze w pobliżu teatru.

— Odnaleziono testament Coucheta. Cały majątek zapisał swoim trzem żonom.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, nie domyślając się prawdy.

— Przede wszystkim swojej pierwszej żonie, mimo że wyszła ponownie za mąż... Potem drugiej... No i pani...

Nie odrywała wzroku od Maigreta, który przyglądał się jak źrenice jej oczu najpierw się rozszerzają, potem pokrywają się wilgotną mgłą.

A potem skryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

VIII. PIELEŃNIARZ

— On był chory na serce. I wiedział o tym. Nina popiła łyżeczek aperitif u koloru rubinowego.

— Dlatego właśnie się oszczędzał. Mówił, że dość się już napracował, że teraz czas korzystać z życia.

— Wspominał czasem o śmierci?

— Nawet często. Ale nie... o takiej śmierci! Miał na myśli swoje chore serce.

Siedzieli w jednym z tych małych barów, uczęszczanych tylko przez stałych bywalców. Właściciel przyglądał się Maigretowi ukradkiem, jak mieszcuchowi, który się kryje z miłosną przygodą. Przy kontuarze rozmawiano o popołudniowych wyścigach.

— Bywał smutny?

— Trudno wytłumaczyć! On nie był taki, jak inni. Chodziliśmy na przykład do teatru, albo gdzie indziej. Bawił się doskonale. I nagle, bez powodu, mówił, głośno się śmiejąc: „Ale pieskie życie, prawda, Ninette!”

— Synem interesował się?

— Nie...

— Wspominał o nim?

— Prawie wcale. Tylko kiedy przychodził naciągać go na forszę.

— I co mówił?

— Wzdychał tylko: „Co za głupek!...”

Maigret wyczuł to już uprzednio: z tych czy innych względów Couchet nie darzył syna uczuciem. Wydawało się nawet, że ten młody człowiek budził w nim obrzydzenie. Do tego stopnia, że nawet nie próbował wyciągnąć go z błota! Przecież nigdy nie prawil mu kazań. A pieniądze dawał, żeby się go pozbyć, albo z litości.

— Panie starszy! Ile płacę?

— Cztery sześćdziesiąt.

Nina wyszła z knajpki razem z nim. Przez chwilę stali na chodniku ulicy Fontaine.

— Gdzie pani teraz mieszka?

— Ulica Lepie, pierwszy hotelik po lewej. Nie zwróciłam nawet uwagi na nazwę. Dość czysty...

— Kiedy będzie pani bogata, będzie pani mogła... Uśmiechnęła się kwaśno.

— Pan dobrze wie, że nigdy nie będę bogata! Nie mam do tego głowy...

Najdziwniejsze, że i Maigret odniósł to samo wrażenie! Nina nie miała głowy, by się pewnego pięknego dnia wzbogacić. Nie umiał powiedzieć, dlaczego.

— Odprowadzę panią do placu Pigalle, tam mam autobus.

Spacerowali wolno, on potężny, przysadzisty, ona wątła w porównaniu z szerokimi barami swego towarzysza.

— Gdyby pan wiedział, jak ciężko mi być samej! Na szczęście mam teatr, dwie próby dziennie, dopóki nie przygotujemy nowej rewii.

Musiła stawiać dwa kroki na każdy krok Maigreta, tak że nieomal biegła. Na rogu ulicy Pigalle zatrzymała się nagle, podczas gdy komisarz zmarszczył brwi i wycedził przez zęby:

— Kretyn!

Ale właściwie nic nie było widać. Przed frontonem hotelu Pigalle zgromadziło się ze czterdziestu gapiów. Posterunkowy od progu usiłował rozproszyć tłum.

I to było wszystko! Ale panował jakiś szczególny nastrój, który na ulicy rodzi tylko wypadek.

— Co się stało? — wyjąkała Nina. — W moim hotelu?

— Nie, to nic! Niech pani wraca do domu.

— Ale... tak...

— Niech pani wraca do domu — rozkazał oschle. Usłuchała, zahukana, a komisarz zaczął torować sobie drogę przez zbiegowisko. Parł naprzód jak tryk. Kobiety mu wymyślały, ale policjant go poznał i wprowadził do hallu hotelowego.

Obecny był już naczelnik komisariatu dzielnicowego, który rozmawiał właśnie z portierem. Ten zawołał, wskazując Maigreta:

— To on! Poznają go...

Obaj policjanci przywitali się uściskiem dłoni. Słysząc było szlochanie, jęki i nieartykułowane dźwięki w saloniku łączącym się z hallem.

— Jak to się stało? — zapytał Maigret.

— Ta dziewczyna, która z nim mieszkała, mówi że stał przy oknie, bardzo spokojny. Ona się ubierała. Przyglądał się jej pogwizdując... Przerwał tylko, żeby jej powiedzieć, że ma zgrabne uda, ale za chude łydki. Potem znów zaczął pogwizdywać. I nagle przestała słyszeć gwizdanie. Przeraziło ją uczucie pustki. Jego już nie było! A przez drzwi wyjść nie mógł...

— Jasne! Nikogo nie ranił, wyskakując na bruk?

— Nikogo. Trup na miejscu. Stos pacierzowy przerwany w dwóch miejscach...

— Przyjechali — zakomunikował posterunkowy. Dzielnicowy wyjaśnił Maigretowi:

— Karetka. Nic więcej nie mamy do roboty. Nie wie pan, czy jest rodzina, którą trzeba zawiadomić? Portier opowiadał mi, że ten młody człowiek miał dziś z rana gościa. Mężczyznę wysokiego i tęgiego... Kiedy pan wchodził, opisywał mi właśnie tego gościa. To był pan! Czy mam mimo to sporządzić raport, czy pan się tym zajmie?

— Niech pan zrobi raport.

— A rodzina?

— Tym ja się zajmę.

Pchnął drzwi saloniku, zobaczył ciało rozłożone na ziemi, przykryte w całości kapą ściągniętą z jakiegoś łóżka. Celina, skulona w fotelu, wyła teraz nieprzerwanie, a tęga kobieta, właścicielka lub kierowniczka hotelu, próbowała ją pocieszać.

— Gorzej byłoby, gdyby się zabił przez ciebie, prawda? Ty nic nie jesteś winna. Nigdy mu niczego nie odmawiałaś...

Maigret nie podniósł kapy, nawet nie pokazał się Celinie.

W kilka chwil później sanitariusze przenieśli ciało do karetki, która odjechała w kierunku instytutu medycyny sądowej. Pomału zbiegowisko przy ulicy Pigalle zaczęło się rozchodzić. Ostatni ciekawscy nie wiedzieli nawet, czy to był pożar, samobójstwo, czy ujęcie złodzieja kieszonkowego.

*

„Pogwizdywał... I nagle przestała cokolwiek słyszeć...”.

Maigret wolniutko, bardzo wolniutko, wdrapywał się po schodach kamienicy przy placu des Vosges, a w miarę jak zbliżał się do drugiego piętra, zasepiał się coraz bardziej.

Drzwi pokoju Matyldy były uchylone. Starucha na pewno czatowała za nimi. Ale komisarz wrzucił tylko ramionami i pociągnął za sznurek dzwonka u drzwi państwa Martin.

Fajkę trzymał w zębach. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej nie schować do kieszeni, potem raz jeszcze wrzucił ramionami.

Stuk potrąconych butelek. Niewyraźne mruczenie. Dwa męskie głosy, zbliżające się do drzwi, które wreszcie ktoś otworzył.

— Dobrze, panie doktorze... Tak, panie doktorze... Dziękuję, panie doktorze...

Martin, przygnębiony, nie miał jeszcze czasu na doprowadzenie się do porządku. Maigret zastał go w tym samym żalnym stroju, co rano.

— To pan?...

Lekarz skierował się ku schodom, a Martin wpuścił komisarza do środka i rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku sypialni.

— Gorzej się czuje?

— Nie wiadomo... Lekarz nie potrafi się wypowiedzieć. Wróci jeszcze wieczorem.

Wziął receptę leżącą na radiu i gapił się w nią oczyma bez wyrazu.

— Nie ma nawet nikogo, kto by poszedł do apteki!

— Co się stało?

— Mniej więcej to samo co zeszłej nocy, ale jeszcze gwałtowniej... Dostała drgawek, zaczęła bełkotać coś niezrozumiałego. Wezwałem lekarza, który stwierdził, że ma prawie czterdzieści stopni gorączki.

— Majaczy?

— Mówię przecież, że nie można nic zrozumieć z tego co mówi! Potrzebny mi lód i gumowy woreczek, żeby jej ten lód przykładac na czoło...

— Chce pan, żebym tu poczekał, kiedy pan pójdzie do apteki?

Martin był o krok od odmowy. Potem pogodził się z losem.

Narzucił płaszcz i oddalił się gestykulując, tragiczny i groteskowy zarazem, potem wrócił, bo zapomniał wziąć pieniędzy.

Maigret nie miał żadnego celu w pozostaniu w mieszkaniu. Nie interesował się niczym, nie otwierał żadnej szuflady, nie spojrzął nawet na plik listów, leżący na jakiejś szafce. Nasłuchiwał tylko nieregularnego oddechu chorej, która od czasu do czasu wydawała długie westchnienie, potem bełkotała jakieś niezrozumiałe głoski. Kiedy Martin wrócił, zastał go w tym samym miejscu.

— Dostał pan wszystko, co trzeba?

— Tak. To okropne... I nawet nie uprzedziłem w biurze!

Maigret pomógł mu potłuc lód i włożyć do czerwonego gumowego woreczka.

— Nikogo dziś rano u państwa nie było?

— Nikogo...

— I nie dostał pan żadnego listu?

— Nie. Tylko jakieś prospekty...

Pani Martin miała czoło pokryte potem, siwiejące włosy przyklejały się do skroni. Ale oczy pozostawały wyjątkowo żywe.

Czy poznała Maigreta, który trzymał worek z lodem nad głową chorej?

Trudno było powiedzieć. Leżała bez ruchu, wpatrzona w sufit.

Komisarz zaciągnął Martina do jadalni.

— Mam dla pana szereg nowin.

— Tak — odpowiedział z dreszczem niepokoju.

— Odnaleziono testament Coucheta. Trzecią część swego majątku zapisał pańskiej żonie.

— Jak to?

Był poruszony, zaskoczony, wstrząśnięty tą nowiną.

— Powiada pan, że nam zapisał...?

— Trzecią część swego majątku! Prawdopodobnie to nie przejdzie gładko. Jego druga żona na pewno będzie próbowała się sprzeciwić. Ona też dostanie tylko jedną trzecią. Resztę zapisał komu innemu, swojej ostatniej kochance, niejkiej Ninie...

Dlaczego Martin sprawiał wrażenie niepokieszonego? Gorzej nawet! Przygnębionego! Ktoś by pomyślał, że odrąbano mu ręce i nogi! Bez przerwy gapił się w sufit, niezdolny wziąć się w garść.

— Druga nowina nie jest taka dobra... Chodzi o pańskiego pasierba.

— Rogera?

— Zabił się dziś rano, wyskakując z okna swego pokoju przy ulicy Pigalle...

Maigret przyglądał się, jak mały Martin nasrożył się, spojrział na niego z gniewem i krzyknął:

— Co mi pan tu będzie opowiadał?! Chce pan, żebym stracił zmysły, tak? Niech pan przyzna, że to wszystko pańskie sztuczki, żebym zaczął mówić!

— Nie tak głośno! Pańska żona...

— Wszystko mi jedno! Pan kłamie! To niemożliwe!

Zmienił się nie do poznania. W mgnieniu oka stracił całą nieśmiałość, całe dobre wychowanie, na którym tak mu zależało. Aż dziwne, jak zmieniła się twarz, jak trząsał wargami, jak rękoma wymachiwał w próżni.

— Przysięgam panu — potwierdził Maigret — że obie wiadomości są oficjalne.

— Ale dlaczego miałby się zabić? Powiadam panu, można oszaleć! To nam wszystkim zresztą grozi: moja żona już odchodzi od zmysłów! Widział ją pan przecież... A jeśli to się przeciągnie, ja też oszaleję. Wszyscy oszalejemy!

Jego wzrok chorobliwie się błąkał. Stracił wszelkie panowanie nad sobą.

— Jej syn wyskoczył przez okno... I testament!

Rysy twarzy stężały, nagle wybuchnął płaczem. Był tragiczny, komiczny, ohydny.

— Proszę! Niech się pan uspokoi!

— Całe życie... trzydzieści dwa lata... codziennie... o dziewiątej rano... ani jednego upomnienia... I to wszystko po to...

— Błagam pana! Niech pan pamięta, że żona pana słyszy, że jest ciężko chora...

— A ja? Myśli pan, że ja nie jestem chory? Myśli pan, że ja długo wytrzymam takie życie?

Nie miał twarzy płaksy, ale właśnie przez to jego łzy były jeszcze bardziej wzruszające.

— Przecież to nie pańska wina! To tylko pański pasierb. Pan nie ponosi odpowiedzialności...

Martin spojrział na komisarza, nagle uspokojony, choć nie na długo.

— Ja nie ponoszę odpowiedzialności... Znów uniósł się gniewem.

— Ale ja mam wszystkie kłopoty! Do mnie pan przyszedł z tą całą historią! Na schodach lokatorzy patrzą na mnie spode łba. Założę się, że to mnie podejrzewają o zabójstwo Coucheta! Właśnie! A zresztą, kto mi da pewność, że i pan mnie nie podejrzewa? Po co pan tu przyszedł? Ha, ha, nie odpowiada pan? Nie ma pan odwagi odpowiedzieć? Zawsze wybiera się najsłabszego... Człowieka, który nie może się bronić... Bo moja żona jest chora! A ja...

Gwałtownie gestykulując, wyrznął łokciem w radio. Odbiornik zakotłosał się i upadł na ziemię w huku rozbitych lamp.

Teraz dopiero odezwała się znów dusza gryzipiórka.

— Aparat za tysiąc dwieście franków! Trzy lata czekałem, nie mogłem sobie pozwolić...

Z sąsiedniego pokoju dochodziły jęki. Nastawił uszu, ale nie ruszył się z miejsca.

— Pańska żona nic nie potrzebuje?

To Maigret zajrzał do pokoju. Pani Martin w dalszym ciągu leżała bez ruchu. Komisarz natknął się na jej wzrok, ale nie umiałby powiedzieć, czy było to spojrzenie wyostrzonej inteligencji, czy wzrok zakłócony wysoką temperaturą.

Nie próbowała nic mówić. Pozwoliła mu wyjść bez słowa.

W jadalni Martin oparł się łokciami o komodę, trzymając twarz w dłoniach, i z odległości kilku centymetrów gapił się w tapetę.

— Dlaczego miałby się zabić?

— Czy sądzi pan, że to może on...

Milczenie. Skwierczenie. Silny zapach czegoś przypalonego. Martin na nic nie zwracał uwagi.

— Czy coś stoi na ogniu? — zapytał Maigret. Wszedł do kuchni, szarej od dymu. Na płycie gazowej

znalazł ronderek z mlekiem, bliskim wykipienia. Zamknął kurek maszynki, otworzył okno, spojrzął na podwórze kamienicy, na laboratorium szczepionek doktora Rivière na samochód dyrektora, zaparkowany przy podjeździe Z biur dochodził stukot maszyn do pisania.

Maigret marudził nie bez powodu. Chciał zostawić Martinowi czas, aby się opanował, odzyskał pewność siebie. Powoli naładował fajkę, zapalił ją od zapalniczki wiszącej nad maszynką gazową.

Kiedy wrócił do jadalni, Martin tkwił w tym samym miejscu, ale był spokojniejszy. Podniósł się, wzdychając, poszukał chusteczki, hałaśliwie wytarł nos.

— To wszystko musi się źle skończyć, prawda? — odezwał się wreszcie.

— Były dwie ofiary śmiertelne! — odparł Maigret.

— Dwie ofiary...

Z wysiłkiem, nawet z rozdzierającym wysiłkiem Martin, bliski nowego ataku nerwowego, zdołał mimo wszystko zapanować nad sobą.

— Wobec tego myślę, że lepiej będzie...

— Co będzie lepiej?

Komisarz bał się odezwać. Wstrzymał oddech. Czuł, że coś go ściska w dołku, że już, już zbliża się do prawdy.

— Taaak — Martin mamrotał do siebie samego — tym gorzej! To jest nieuniknione, nieunik-nio-ne!

Mimo to machinalnie podszedł do otwartych drzwi sypialni i rzucił wzrokiem w głąb pokoju.

Maigret ciągle czekał, bez ruchu, w milczeniu.

Martin nie powiedział ani słowa. Nie słychać też było głosu jego żony. Mimo to coś musiało między nimi zajść.

Milczenie przeciągało się w nieskończoność. Komisarz zaczynał się niecierpliwić.

— I co...?

Martin powoli odwrócił się ku niemu. Przybrał zupełnie inny wyraz twarzy.

— O co chodzi?

— Mówił pan, że...

Martin usiłował się uśmiechnąć.

— Że co?

— Że lepiej będzie, dla uniknięcia nowej tragedii...

— Co będzie lepiej?

Otarł czoło dłonią, jak ktoś, komu trudno zebrać myśli.

— Bardzo pana przepraszam. Jestem taki wstrząśnięty...

— Zapomniał pan, co chciał pan powiedzieć?

— Tak... Sam już nie wiem... Niech pan spojrzy! Zasnęła.

Wskazał ręką panią Martin, która przymknęła oczy. Jej twarz była purpurowa, zapewne w wyniku przykładania lodu do czoła.

— Co pan wie? — zapytał Maigret tonem, jakiego używał w stosunku do zbyt szczwanych podejrzanych.

— Ja?

I odtąd wszystkie odpowiedzi były w tym samym stylu! To właśnie nazywają „struganiem wariata”? Każde słowo powtarzał ze zdumieniem.

— Był pan gotów powiedzieć prawdę...

— Prawdę?

— Dość tego! Niech pan nie próbuje udawać głupiego. Pan wie, kto zabił Coucheta...

— Ja?... Ja wiem?...

Jeżeli nigdy nie dostał po buzi, to tym razem był o krok od zainkasowania solidnego policzka z rąk Maigreta!

Komisarz z zaciśniętymi szczękami spoglądał na nieruchomą kobietę, która spała lub udawała że śpi, potem na tego poczciwca, który miał jeszcze podpuchnięte powieki, zboloną minę po ostatnim krzysie, obwisłe wąsy.

— Bierze pan na siebie odpowiedzialność za to, co się jeszcze może stać?

— Co się może stać?

— Pan popełnia błąd, panie Martin!

— Jaki błąd?

Co się właściwie stało? Załedwie minutę ten, który był już gotów wyznać wszystko, stał w progu między obu pokojami, z wzrokiem utkwionym w łóżko żony. Maigret nie słyszał nic. Martin nawet nie drgnął.

A teraz ona spała! Udawała niewiniątko!

— Przepraszam pana... Zdaje się, że chwilami sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Przyzna pan, że można oszaleć...

Co nie przeszkadzało, że nadal był smutny, nawet posępny. Sprawiał wrażenie skazańca. Jego wzrok unikał twarzy Maigreta, prześlizgiwał się po znajomych sprzętach, zatrzymał się wreszcie na aparacie radiowym. Pochyliwszy się nad podłogą Martin, odwrócony plecami do komisarza, zaczął zbierać skorupy.

— O której ma przyjść lekarz?

— Nie wiem... Powiedział, że wieczorem.

Maigret wyszedł i trzasnął za sobą drzwiami. Znalazł się nos ze starą Matyldą, która była tym tak zaskoczona, że stanęła jak wryta, z szeroko rozdziawionymi ustami.

— A pani też nie ma mi nic do powiedzenia, co? Co?

Może i pani będzie udawać, że o niczym nie wie?

Próbowała odzyskać kontenans. Obie ręce złożyła na fartuchu, machinalnie przybierając pozę starej gosposi.

— Chodźmy do pani...

Zaszurała filcowymi pantoflami po parkiecie, ale zawahała się przed uchylonymi drzwiami.

— No dobra! Wchodźmy.

Maigret wszedł za nią, kopniakiem zatrzaskał drzwi, nie spojrzawszy nawet na wariatkę, siedzącą przed oknem.

— A teraz proszę mówić! Zrozumiano?

I całym ciężarem ciała opadł na krzesło.

IX. RENTA WDOVIA

— Zaczyna się od tego, że kłóć się przez całe życie!

Maigret nawet nie drgnął. Po uszy zanurzył się w tych brudach codzienności, bardziej obrzydliwych niż sama tragedia.

Stojąca przed nim starucha miała koszmarną minę triumfu i groźby. Mówiła! I jeszcze więcej powie! Z nienawiści do Martinów, do nieboszczyka, do wszystkich lokatorów tego domu, z nienawiści do całego rodzaju ludzkiego. I z nienawiści do Maigreta.

Stała więc, z rękoma skrzyżowanymi na wielkim, sflaczałym brzuchu. Można by rzec, że przez całe życie czekała na taką okazję! To nie uśmiezek wykwitł jej na wargach, to istna błogość, od której wręcz się rozplywała!

— Zaczyna się od tego, że kłóć się przez całe życie!

Miała czas. Cedziła słowa. Napawała się możliwością okazania wzgardy ludziom, którzy kłóć się między sobą.

— Gorzej niż szmaciarze! I to od dawna! Czasem zastanawiałam się, dlaczego jej jeszcze nie zamordował.

— Aha, spodziewała się pani, że...

— Mieszkając w takim domu, wszystkiego się można spodziewać!

Bacznie uważała na każdą tonację głosu. Była bardziej ohydna czy śmieszna?

Pokój wydawał się duży. Niepościelone łóżko z szarymi od brudu prześcieradłami, które nigdy chyba nie zaznały świeżego powietrza. Stół, stara szafa, kuchenka. I fotel, w którym siedziała wariatka, patrząc przed siebie z lekkim, rozczulającym uśmiechem.

— Przepraszam! Przyjmuje pani czasem gości? — zapytał Maigret.

— Nigdy!

— A siostra nigdy nie opuszcza pokoju?

— Czasami chowa się na schodach. Zniechęcająca szarzyzna. Zapach brudu i ubóstwa, starości, może nawet odór śmierci?

— I niech pan zauważy, że to ona zawsze zaczyna!

Maigret z trudem znajdował siłę, aby zadawać jej pytania. Przyglądał się jej bez wyrazu. Słuchał.

— Oczywiście o pieniądze! Nie chodzi o inne kobiety... Choć raz, sprawdzając rachunki, podejrzewała, że był w takim domu. Nic mu nie było oszczędzone...

— Biję go?

Maigret nie ironizował. Takie przypuszczenie nie było wcale śmieszniejsze od innych. Tak się pławił w nieprawdopodobieństwach, że nic już nie było go w stanie zadziwić.

— Nie wiem, czy go bije, ale tłucze talerze. Potem płacze, mówiąc, że nigdy nie doczeka się przyzwoitego domu...

— W sumie, te sceny powtarzają się prawie codziennie?

— To nie są wielkie sceny! Ale wyrzuty. Dwa, trzy razy na tydzień...

— Ma pani przynajmniej zajęcie!

Nie była pewna, czy dobrze zrozumiała i przyjrzała mu się z odrobiną zaniepokojenia.

— Jakie wyrzuty mu robi najczęściej?

— „Jak się nie ma za co utrzymać żony, to się nie trzeba żenić! Nie oszukuje się żony, wmawiając, że się dostanie podwyżkę, gdy to nieprawda! Nie trzeba było odbijać żony takiemu mężczyźnie jak Couchet, który potrafi zarabiać miliony! Urzędnicy to tchórze... Trzeba pracować na własny rachunek, umieć ryzykować, okazać inicjatywę, jak się chce do czegoś dojść...”

Biedny Martin, ze swoimi rękawiczkami, jasnobeżowym płaszczem, wypomadowanymi wąsami! Maigret mógł sobie bez trudu wyobrazić te wszystkie epitety, którymi go obrzucano przy każdej okazji.

A przecież robił co mógł! Przed nim Couchet zbierał te same wyrzuty. Jemu na pewno powtarzała: „Spójrz na pana Martina! To dopiero inteligentny mężczyzna! On troszczy się o to, że może kiedyś będzie miał żonę! Jeśli coś mu się stanie, ona dostanie przynajmniej wdowią rentę. A ty...”

To wszystko sprawiało wrażenie złowrogiego oskarżenia. Pani Martin się oszukała, została oszukana, oszukiwała cały świat!

A wszystko musiało się zacząć od jakiejś strasznej pomyłki!

Córka cukiernika z Meaux marzyła o pieniądzach. To był fakt bezsporny. To była konieczność! Czula to. Była stworzona do posiadania pieniędzy i wobec tego obowiązkiem jej męża było pieniądze zdobyć!

Couchet nie dość zarabiał? A jeśli umrze, ona nie otrzyma nawet wdowiej renty?

No to wyjdzie za Martina! Proste.

Tylko w rezultacie Couchet zdobył miliony kiedy już było za późno. I nie było sposobu, żeby Martinowi dodać skrzydeł, żeby go skłonić do odejścia z biura notarialnego i zajęcia się handlowaniem szczepionkami albo czymś innym, co daje pieniądze!

Była nieszczęśliwa! Zawsze była nieszczęśliwa! Życie haniebnie ją oszukało!

Stara Matylda wbiła w Maigreta oczy niebieskawe jak u meduzy.

— Syn ją odwiedzał?

— Czasami.

— Jemu też robiła sceny?

I pomyśleć, że starucha od lat czekała na taką chwilę! Teraz się nie śpieszyła. Miała czas!

— Dawała synowi dobre rady: „Twój ojciec jest bogaty! Powinien się wstydzić, że ci nie załatwił lepszej posady. Nie masz nawet samochodu... A wiesz dlaczego? Przez tę kobietę, która dla pieniędzy za niego wyszła. Tylko dla pieniędzy za niego wyszła! Bóg jeden raczy wiedzieć, co ci zgotuje na przyszłość... Czy dostaniesz choć część tego majątku, który ci się należy? Dlatego teraz powinienes ciągnąć od niego pieniądze, odłożyć sobie w bezpiecznym miejscu... Jak chcesz, ja ci je przechowam. Powiedz, chcesz, żebym ja ci je przechowała?...”

Maigret, z wzrokiem utkwionym w brudny sufit rozmyślał, marszcząc czoło.

Zdawało mu się, że w tej plątaninie uczuć jedno wysuwało się na plan pierwszy, może nawet warunkowało wszystkie pozostałe: niepokój! Niepokój chorobliwy, graniczący z szaleństwem.

Pani Martin stale mówiła o tym co się może zdarzyć: o śmierci męża, o nędzy jeśli jej nie zapewni wdowiej renty... Bała się też o przyszłość syna. To był koszmar, obsesja.

— A co na to Roger?

— Nic! Nigdy długo u niej nie siedział. Pewnie miał ciekawsze zajęcia na mieście...

— Był tu w dniu zabójstwa?

— Nie wiem.

Wariatka, w swoim kąciku, równie stara jak Matylda, ciągle przyglądała się komisarzowi, uśmiechając się ujmująco.

— Czy Martinowie mieli wtedy jakąś rozmowę ciekawszą niż zwykle?

— Nie wiem.

— Czy koło ósmej wieczór pani Martin schodziła na dół?

— Już nie pamiętam. Nie mogę stale pilnować korytarza.

To była nieświadomość, czy przejrzysta ironia? Tak czy inaczej, coś jeszcze chowała w zanadrzu. Maigret to czuł. Jeszcze nie całą truciznę wycisnęła!

— Wieczorem kłócili się...

— O co?

— Nie wiem.

— Nie słuchała pani?

Nie odpowiedziała. Jej mina zdawała się mówić: „To moja sprawa!”

— Co jeszcze pani wie?

— Wiem, dlaczego ona choruje!

Teraz nadeszła chwila triumfu! Ręce, ciągle skrzyżowane na brzuchu, zadygotały. Kulminacyjny punkt całej życiowej kariery!

— Dlaczego?

Tym trzeba się było nacieszyć!

— Bo... Chwileczkę, zapytam siostrę, czy niczego nie potrzebuje. Fanny, nie chcesz pić? Może jesteś głodna? Nie za gorąco ci?

Mały żeliwny piecyk był rozpalony do czerwoności. Stara kręciła się po pokoju, bezszelestnie ślizgając się na filcowych podszwach.

— Bo co?

— Bo on nie przyniósł pieniędzy!

Przesylabizowała to zdanie, a potem zapanowało absolutne milczenie. To był koniec! Więcej nic nie miała do powiedzenia! I tak powiedziała aż nadto!

— Jakich pieniędzy?

Daremny trud! Nie odpowiadała na żadne pytania.

— To nie moja sprawa! Tyle tylko słyszałam. Może pan sobie z tym robić, co pan chce. Teraz już pora, żebym się zajęła siostrą...

Poszedł więc, pozostawiając obie siostry, żeby zajęły Bóg wie czym.

Niedobrze mu się od tego robiło. Żołądek podchodził mu do gardła, jak przy morskiej chorobie.

„Nie przyniósł pieniędzy...”

Czy da się to jakoś wytłumaczyć? Martin postanowił okraść pierwszego męża, może po to, aby więcej nie wysłuchiwać o swojej przeciętności. Ona widziała go przez okno. Wyszedł z trzystoma sześćdziesięcioma banknotami w ręku...

Ale kiedy przyszedł do domu, nie miał tych pieniędzy! Schował je w bezpiecznym miejscu? Pozwolił się okraść? Może popadł w panikę i pozbył się pieniędzy, rzucając je do Sekwany?

Czy to on zabił? On, nijaki, maleńki pan Martin w jasnobieżowym płaszczu?

Przed chwilą gotów był mówić. To było znużenie człowieka winnego, który nie czuje się dłużej na siłach dochować milczenia, który woli natychmiastową karę więzienia od trwoźnego wyczekiwania.

Ale dlaczego to żona zachorowała?

A przede wszystkim, dlaczego zabił się Roger?

Czy to wszystko nie zrodziło się w wyobraźni Maigreta? Przecież równie dobrze mógłby podejrzewać Ninę, albo panią Couchet, albo nawet pułkownika...

Schodząc powoli ze schodów, komisarz natknął się na pana de Saint-Marc, który odwrócił głowę:

— Ach, to pan...

Protekcjonalnie podał mu rękę.

— Co nowego? Sądzi pan, że to się wyświatli?

A z góry dochodził krzyk wariatki, którą siostra widocznie zostawiła samą, by stanąć na posterunku pod czyimiś drzwiami!

Piękny pogrzeb. Mnóstwo ludzi. Osoby na stanowisku. Przede wszystkim rodzina pani Couchet i sąsiedzi z bulwaru Haussmanna.

W pierwszych rzędach kościoła jedynym dysonansem była siostra Coucheta, choć zrobiła wszystko, żeby elegancko wyglądać. Ona jedna płakała. Najgorsze, że miała taki hałaśliwy sposób wycierania nosa, który za każdym razem ściągał na nią gniewne spojrzenie teściowej zmarłego.

Zaraz za rodziną pracownicy laboratorium szczepionek.

Razem z pracownikami zasiadła stara Matylda, bardzo godna, pewna siebie, przeświadczona że ma prawo tu być. Czarna suknia, którą miała na sobie, służyła zapewne tylko temu jednemu celowi: uczęszczaniu na pogrzeby! Skrzyżowała wzrok z Maigretem. I nawet raczyła lekko skinąć głową.

Rozległy się dźwięki organów, bas kantora, falset diakona: **Et ne nos inducat in tentationem!**

Szurgot odsuwanych krzeseł. Katafalk był wysoki, ale mimo to ginął pod morzem kwiatów i wieńców.

„**Od lokatorów z placu des Vosges 61**”

Matylda też się na pewno dołożyła. A czy Martinowie także wpisali swoje nazwisko na listę składową?

Pani Martin nie było widać. Nie wstała jeszcze z łóżka.

Libera nos, domine...

Msza żałobna. Koniec. Mistrz ceremonii powoli kroczy na czele orszaku pogrzebowego. Maigret ze swego kącika nie opodal konfesjonału dojrzał Ninę. Miała zaczerwieniony nos, ale nie zadała sobie trudu, żeby go przypudrować.

— To straszne, prawda? — powiedziała.

— Co jest straszne?

— Wszystko! Sama nie wiem. Ta muzyka... I ten zapach chryzantem.

Zagryzła dolną wargę, żeby stłumić szloch.

— Wie pan... Długo nad tym myślałam. I na koniec doszłam do wniosku, że on coś przeczuwał.

— Pójdzie pani na cmentarz?

— Jak pan myśli? Mogą mnie tam zauważyć... Może lepiej, żebym nie szła? Ale tak bym chciała wiedzieć, gdzie będzie pochowany...

— Wystarczy zapytać strażnika.

— Słusznie.

Rozmawiali szeptem. Po tamtej stronie drzwi milkły kroki ostatnich odprowadzających. Samochody zaczęły odjeżdżać.

— Powiada pani, że coś przeczuwał?

— Może nie to, że umrze w taki sposób... Ale wiedział, że niewiele już mu czasu zostało. Był poważnie chory na serce.

Widać było, że coś ją dręczy, że przez długie godziny jej umysł pracował tylko nad tą jedną sprawą.

— Przypomniałam sobie jego słowa...

— Obawiał się czegoś?

— Nie! Raczej odwrotnie. Kiedy przypadkiem rozmowa zeszała na cmentarze, powiedział ze śmiechem: Jedyne miejsce, gdzie będzie spokój. Zaciszny kącik na Père-Lachaise..."

— Często żartował?

— Zwłaszcza, kiedy mu nie było wesoło. Rozumie mnie pan? Nie lubił dać po sobie poznać, że ma kłopoty. W takich chwilach szukał czegoś, żeby się pośmiać...

— Na przykład kiedy wspominał pierwszą żonę?

— Nigdy mi o niej nie mówił.

— A o drugiej?

— Też nie! Nie mówił o nikim konkretnym, mówił o ludziach w ogóle. Twierdził, że to dziwne istoty. Jeśli kelner w restauracji go naciął, traktował go serdeczniej niż innych. „Łajdak!” — mówił, ale wypowiadał to słowo z nutką rozbawienia, zadowolenia!

Zrobiło się chłodno. Pora Zaduszek. Maigret i Nina nie mieli nic więcej do roboty w tej eleganckiej dzielnicy Saint-Philippe-du-Roule.

— W Moulin-Bleu wszystko w porządku?

— W porządku!

— Wpadnę się przywitać któregoś wieczora...

Maigret uściśnął jej rękę i wskoczył na platformę autobusu.

Musiał teraz być sam, pomyśleć, a raczej pozwolić na dywagacje myśli. Wyobrażał sobie orszak pogrzebowy, który niebawem dotrze na cmentarz. Pani Couchet.. pułkownik... brat... Na pewno będzie mowa o tym dziwnym testamencie.

„Po co oni szperali w tych kubłach na śmiecie?”

Bo tu właśnie był pies pogrzebany! Martin kręcił się koło śmietnika pod pozorem szukania rękawiczki, której nie znalazł, a którą mimo to miał na sobie nazajutrz rano. Pani Martin też grzebała w odpadkach, wspominając o wyrzuconej przez nieuwagę srebrnej łyżeczce.

„...bo nie wrócił z pieniędzmi...” — mówiła stara Matylda.

W gruncie rzeczy wesoło musiało być o tej porze przy placu des Vosges! Czy wariatka, która została sama, nie była jak zwykle?

Przepełniony autobus mijał przystanki bez zatrzymywania. Tuż przy Maigrecie ktoś odezwał się do sąsiada:

— Czytałeś tę historię z tysiącfrankowymi banknotami?

— Nie. Co się stało?

— Szkoda, że mnie tam nie było! Przy służbie Bougival, przedwczoraj rano... Tysiącfrankowe banknoty płynęły z prądem. Jakiś marynarz pierwszy je dojrzał i nawet udało mu się wyłowić kilka sztuk. Ale służowy zauważył i poleciał po policję. Potem już posterunkowy pilnował tych, co chcieli łowić forszę na wędkę...

— Nie mów! Ale pewnie coś tam na lewo schowali...

— W gazecie piszą, że odzyskano trzydzieści banknotów, ale musiało być tego dużo więcej, bo w Mantes też wyłowiono dwa. I co powiesz, banknoty pływają w Sekwanie... Lepsze niż szczupaki!

Maigret ani drgnął. Był o głowę wyższy od współpasażerów. Na twarzy zachował spokój.

„...bo nie wrócił z pieniędzmi...”

A więc o to chodziło? Czy małego Martina obleciał strach lub wyrzuty sumienia na myśl o popełnionej zbrodni? No tak, Martin zeznał, że tego wieczora spacerował po Wyspie św. Ludwika, żeby złagodzić ból głowy!

Maigret mimo wszystko zdołał się uśmiechnąć: wyobraził sobie panią Martin, która ze swojego okna widziała wszystko i czekała.

Mąż wrócił znużony, przygnębiony. Bacznie śledziła jego ruchy i gesty. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy banknoty, może nawet będzie je mogła przeliczyć...

A on się rozbierał. Kładł spać.

Czy to nie ona podniosła ubranie i przeszukała kieszenie?

Niepokój rósł. Przyglądała się Martinowi i jego posępnym wąsom. „A pie... pieniądze? — Jakie pieniądze? — Komu je dałeś? Odpowiadaj! Nie próbuj kłamać!”

Wysiadając z autobusu przy Pont-Neuf, skąd widać było okna jego gabinetu, Maigret ku swemu własnemu zdumieniu złapał się na tym, że półgłosem powiedział: „Założę się, że Martin zaczął płakać w łóżku!...”

X. DOWÓD OSOBISTY

Zacząło się w Jeumont. Była jedenasta wieczór, kilku podróżnych z trzeciej klasy udało się w kierunku urzędu celnego, celnicy zaś rozpoczęli kontrolę w wagonach pierwszej i drugiej klasy.

Pedanci z góry przygotowywali walizki do kontroli, rozkładając bagaże na ławkach. Do nich należał mężczyzna o niespokojnych oczach, jadący drugą klasą w przedziale, gdzie poza nim znajdowało się tylko stare małżeństwo belgijskie.

Jego bagaż był wzorem porządku i sztuki przewidywania. Koszule przekładane gazetami, by się nie pobrudziły. Dwanaście par mankietów, kalesony ciepłe i na lato, budzik, półbuty i para sfatygowanych pantofli.

W sposobie pakowania czuło się kobiecą rękę. Nie zmarnowano ani odrobiny miejsca, nic nie miało prawa się pognieść. Celnik jakby od niechcenia dotknął bagaży ręką, obserwując pasażera w jasnobezowym płaszczu, który zresztą wyglądał na posiadacza takich właśnie waliz.

— W porządku!

Znak kredą na bagażach.

— Państwo nic nie mają do oclenia?

— Przepraszam — wtrącił się mężczyzna — gdzie dokładnie zaczyna się terytorium belgijskie?

— Widzi pan to pierwsze ogrodzenie, o tam? Nie, teraz nic pan nie zobaczy. Ale niech pan zaczeka... Niech pan policzy latarnie. Trzecia od prawej — no więc tam właśnie jest granica.

W korytarzu rozległ się głos, powtarzający przed drzwiami każdego przedziału:

— Proszę przygotować paszporty i dowody osobiste! Mężczyzna w jasnobezowym płaszczu starał się ułożyć walizki z powrotem na siatce.

— Paszport?

Odwrócił się, ujrzał młodego człowieka, w szarym nakryciu głowy.

— Francuz?... To poproszę dowód osobisty. To zajęło kilka chwil, palce grzebały w portfelu.

— Służę panu!

— Dziękuję. Martin, Edgar–Emile... Zgadza się. Proszę ze mną.

— Dokąd?

— Może pan zabrać bagaże.

— Ale... pociąg...

Para Belgów przyglądała mu się teraz ze strachem, choć mimo wszystko pochlebiali im, że podróżowali w jednym przedziale ze złoczyńcą. Martin, wytrzeszczywszy oczy, wdrapał się na ławkę, żeby zdjąć swoje torby podróżne.

— Przysięgam panu... Czy to...?

— Proszę się pośpieszyć. Pociąg zaraz rusza.

Młody człowiek w szarym kapeluszu zepchnął najcięższą walizkę na peron. Zapadał zmrok. W świetle latarni dojrzeć można było pasażerów biegiem wracających z bufetu. Gwizdek. Jakaś kobieta użerała się z celnikami, którzy nie pozwalali jej odjechać.

— Zobaczmy jutro rano...

Martin podążył za młodym człowiekiem, z trudem taszcząc swój bagaż. Nigdy nie przypuszczał, że peron dworcowy może być taki długi! Prawdziwa bieżnia, nie kończąca się, bezludna, obramowana tajemniczymi drzwiami.

Wreszcie dotarli do ostatnich drzwi.

— Proszę wejść!

W środku panował mrok. Jedyna lampa w zielonym abażurze zawieszona była tak nisko, że oświetlała tylko jakieś papiery. Ale w głębi pokoju coś się poruszyło.

— Dzień dobry, panie Martin — rozległ się kordialny głos.

Z cienia wyłoniła się potężna sylwetka: komisarz Maigret w ciemnym płaszczu z aksamitnym kołnierzem, ręce w kieszeniach.

— Nie warto się rozbierać. Pojedziemy pociągiem paryskim, który zaraz przyjedzie na tor trzeci...

Tym razem wszystko stracone! Martin płakał w milczeniu, z rękoma zaciśniętymi na uchwytych tak doskonale zapakowanych waliz.

*

Inspektor pełniący służbę przed domem przy placu des Vosges 61 kilka godzin przedtem telefonował do Maigreta:

— Ptaszek zaraz wyfrunie... Wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć na Dworzec Północny.

— Niech jedzie. Proszę dalej śledzić żonę.

Maigret wsiadł więc do tego samego pociągu co Martin. Podróżował w sąsiednim przedziale, z dwoma podoficerami, którzy przez całą drogę opowiadali pieprzne kawały. Od czasu do czasu komisarz przykładał oko do małego judasza łączącego oba przedziały i przyglądał się posępnemu Martinowi.

Jeumont... Dowód osobisty... Gabinet komisarza służby specjalnej.

Teraz obaj wracali do Paryża w zarezerwowanym przedziale. Martin nie miał kajdanek na rękach. Walizki leżały na siatce nad głową, jedna, źle wyważona, cały czas groziła upadkiem na ziemię.

Maubeuge. Maigret ciągle jeszcze nie zadał ani jednego pytania.

Można było oszaleć! Siedział w swoim kąciku z fajką w zębach i nie przestawał palić, przyglądając się towarzyszowi podróży rozbawionymi oczyma.

Dziesięć, dwadzieścia razy Martin otwierał usta, nie mogąc zdecydować się na wypowiedzenie choć słowa. Dziesięć, dwadzieścia razy komisarz nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Wreszcie to musiało nastąpić: rozległ się głos nie do opisania, którego nawet pani Martin z pewnością by nie poznała:

— To ja...

A Maigret wciąż się nie odzywał. Jego oczy zdawały się mówić: „Naprawdę?”

— Ja... Miałem nadzieję, że przekroczę granicę...

Komisarz miał zwyczaj palić fajkę w sposób, który zawsze denerwował wszystkich obecnych: przy każdym kłębie zmysłowo rozchyłał wargi w delikatnym „pyk”. A dymu nie wypuszczał przed siebie, tylko pozwalał, by ulatniał się powoli, tworząc obłok okalający twarz.

Maigret palił więc, a głowa kiwała się z prawej na lewą i z lewej na prawą, w rytmie stukotu kół pociągu.

Martin pochylił się przed siebie, ścisnął załóżnie dłonie w rękawiczkach, oczy miał rozgorączkowane.

— Sądzi pan, że to długo potrwa? Prawda, że nie? Przecież ja się przyznaję... Przyznaję się do wszystkiego.

Jak mu się udawało pohamować szloch? napięte nerwy musiały go przyprawiać o dojmujący ból. A oczy raz po raz nabierały błagalnego wyrazu, wyraźnie mówiły Maigretowi: „Niech mi pan pomoże! Widzi pan przecież, że jestem u kresu sił!”

Ale komisarz ani drgnął. Był spokojny, w jego spojrzeniu było zainteresowanie, ale żadnego wzruszenia. Jak w ogrodzie zoologicznym przed klatką z jakimś egzotycznym stworzeniem.

— Couchet mnie przyłapał. No więc...

Maigret westchnął. Takie westchnienie nic nie znaczyło, a raczej można je było pojmować na sto różnych sposobów.

Saint-Quentin! Kroki w korytarzu. Potężny mężczyzna usiłował otworzyć drzwi przedziału, zobaczył, że są zamknięte na klucz, przez chwilę zaglądał do środka z nosem przylepionym do szyby, wreszcie dał za wygraną i poszedł szukać innego miejsca.

— Skoro przyznaję się do wszystkiego, prawda? Nie warto dłużej się wypierać...

Zupełnie jakby rozmawiał z głuchym, albo z kimś kto ani słówka nie rozumie po francusku. Maigret pedantycznie kciukiem upychał tytoń w fajce.

— Ma pan zapalki?

— Nie. Ja nie palę. Pan o tym dobrze wie... Moja żona nie lubi zapachu tytoniu. Chciałbym, żeby to się skończyło, rozumie pan? Powiem to adwokatowi, bo chyba będę musiał mieć adwokata? Nie chcę żadnych komplikacji! Przyznaję się do wszystkiego! Czytałem w gazecie, że część banknotów odnaleziono. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem... Kiedy je czułem w kieszeni, wydawało mi się, że na ulicy wszyscy się na mnie gapią. Najpierw miałem zamiar gdzieś je ukryć... ale po co?... Szedłem wzdłuż nabrzeża. Tam były zakotwiczone barki, bałem się, że jakiś marynarz mnie zauważy. Więc przeszedłem przez most Marie, na Wyspie św. Ludwika udało mi się niepostrzeżenie pozbyć pakunku...

W przedziale było nieznośnie gorąco. Mgła skraplała się na szybach. Dym z fajki kłębił się u sufitu, wokół lampy.

— Powinienem być za pierwszym razem przyznać się panu do wszystkiego... Nie miałem odwagi. Miałem nadzieję, że...

Martin zamilkł, z zainteresowaniem przyjrzał się towarzyszowi podróży, który uchylił usta i zamknął oczy. Oddech równy, jak miauczenie wielkiego, najedzonego kota.

Maigret zasnął!

Martin rzucił okiem na drzwi, które wystarczyło tylko odsunąć i jak gdyby broniąc się przed pokusą wtulił się w kąt przedziału, zaciskając pośladki, a obie ręce składając na chudych kolanach.

*

Dworzec Północny. Szary ranek. Podmiejski tłum, nie całkiem jeszcze przebudzony, przewala się przez bramy jak stado bydła.

Pociąg zatrzymał się bardzo daleko od poczekalni. Walizy były ciężkie. Martin nie chciał się zatrzymać. Był u kresu sił, ramiona go bolały.

Długo musieli czekać na taksówkę.

— Pan mnie zabiera do więzienia?

W pociągu spędzili pięć godzin, a Maigret w sumie nie wydusił nawet dziesięciu zdań. I to zdań, które nie miały nic wspólnego ani z morderstwem ani z trzystu sześćdziesięcioma tysiącami franków! Mówił o swojej fajce, o gorącu w przedziale, o godzinie przyjazdu.

— Plac des Vosges 61 — rzucił kierowcy.

Martin błagał:

— Czy to naprawdę konieczne...?

I do siebie samego:

— Co sobie w biurze pomyślą! Nie miałem nawet czasu uprzedzić.

W portierni dozorczyńni sortowała pocztę: wielki plik listów do Szczepionek doktora Rivière, bardzo mało dla reszty lokatorów.

— Panie Martin! Panie Martin! Przychodzili tu z biura notarialnego, dowiadywać się, czy pan nie chory. Okazuje się, że pan ma klucz od...

Maigret pociągnął swego towarzysza za sobą. A ten musiał taszczyć ciężkie walizy po schodach, gdzie przed drzwiami stały butelki z mlekiem i leżał świeży chleb.

Drzwi starej Matyldy poruszyły się.

— Niech mi pan da klucz.

— Ale...

— To niech pan sam otworzy.

Głęboka cisza. Szczęk zasuw. Teraz ujrzeli posprzątaną jadalnię, każdy drobiazg leżał dokładnie na swoim miejscu.

Martin długo się zastanawiał, potem powiedział głośno:

— To ja!... I pan komisarz...

W sąsiednim pokoju coś się poruszyło na łóżku. Martin zamykając za sobą drzwi, wyjąkał:

— Nie powinniśmy byli... Przecież ona nic temu nie winna, prawda? A w jej stanie...

Nie miał odwagi wejść do sypialni. Dla nabrania otuchy podniósł walizy i ułożył je na dwóch krzesłach.

— Czy chce pan, żebym zaparzył kawę?

Maigret zapukał do drzwi sypialni.

— Mogę wejść?

Żadnej odpowiedzi. Pchnął drzwi i natknął się na wbity w niego wzrok pani Martin, która leżała bez ruchu, z włosami spiętymi szpilkami.

Martin stał za nim. Czuł jego obecność, ale nie mógł go widzieć.

Głośne kroki na podwórzu. I głosy, przede wszystkim kobiece: to nadchodzili pracownicy biur i laboratorium. Była za minutę dziewiąta.

Stłumiony krzyk wariatki w sąsiednim mieszkaniu. Na nocnym stoliku lekarstwa.

— Gorzej się pani czuje?

Wiedział dokładnie, że ona nie odpowie, że wbrew wszystkiemu będzie zachowywała tę samą okrutną rezerwę. Można by rzec, że boi się słów, nawet jednego jedyne słowa. Jak gdyby słowo mogło rozpętać katastrofę!

Zeszczupiała, cerę miała jeszcze bardziej ziemistą. Ale oczy, te przedziwne szare źrenice, żyły własnym życiem, namiętym, samowolnym.

Martin wszedł na miękkich nogach. Całą swą postawą zdawał się usprawiedliwiać, prosić o przebaczenie.

Szare oczy powoli odwróciły się w jego kierunku, lodowate, tak bezwzględne, że aż odwrócił głowę i wyjąkał:

— Na dworcu w Jeumont... Jeszcze minuta, a byłbym w Belgii...

Trzeba było słów, zdań, hałasu, żeby wypełnić tę pustkę, którą wyczuwało się wokół każdej z osób. Pustkę namacalną do tego stopnia, że głosy odbijały się echem, jak w tunelu lub jaskini.

Ale nikt nic nie mówił. Z trudem mamrotano jakieś sylaby, wymieniając pełne obaw spojrzenia, po czym znów milczenie zapadało w sposób bezwzględny, jak mgła.

Mimo to coś się działo. Coś powolnego, ukradkowego: ręka która wślizgnęła się pod kołdrę, a potem obojętnym ruchem podniosła się do samej poduszki.

Wychudzona, wilgotna dłoń pani Martin. Maigret, pozornie patrząc w inną stronę, śledził uważnie jej każdy ruch, czekając chwili, aż wreszcie dłoń dosięgnie celu.

— Zdaje się, że lekarz miał przyjść dziś rano?

— Nie wiem... Czy ktoś się mną w ogóle zajmuje? Leżę tu jak zwierzę, któremu pozwolono zdychać...

Ale oko zabłysło, bo ręka dotknęła wreszcie upragnionego przedmiotu.

Ledwie zauważalny szelest papieru.

Maigret postąpił krok naprzód, chwycił panią Martin za przegub dłoni. Wydawało się, że chora jest bez sił, prawie bez życia. Ale to nie przeszkodziło, że w ciągu sekundy dała dowód niesłyszanej żywotności.

Nie chciała puścić tego, co trzymała! Uniosła się na łóżku i broniła się jak szalona. Dłoń przybliżyła do ust, zębami rozerwała biały papierek, który ścisnęła w rękę.

— Niech mnie pan puści! Proszę mnie puścić, bo będę krzyczeć! A ty?... Ty pozwalasz?...

— Panie komisarzu! Błagam pana... — jęczał Martin.

Nadstawiał uszu. Bał się, że zlecą się sąsiedzi. Ale wtrącić się nie miał śmiałości.

— Brutal! Parszywy brutal! Bić kobietę...!

Nie, Maigret jej nie bił. Poprzestał na przytrzymaniu ręki, może trochę za mocno ściskając ją w przegubie, żeby przeszkodzić w zniszczeniu papierka.

— Jak panu nie wstyd! Kobieta, która jedną nogą jest już na tamtym świecie.

Ale ta na wpół żywa kobieta przejawiała teraz energię, z jaką Maigretowi rzadko przyszło się spotykać w jego całej policyjnej karierze! Melonik spadł mu na łóżko. Nagle ugryzła komisarza w nadgarstek.

Ale przy tak napiętych nerwach nie mogła długo się bronić. Za chwilę udało mu się rozewrzeć jej palce, podczas gdy ona pojękiwała z bólu.

Teraz płakała. Płakała nie płacząc, ze złości, z wściekłości, może także dla zachowania pozorów?

— A ty na to pozwoliłeś...

Maigret był zbyt szeroki w barach, jak na ten ciasny i zagracony pokój. Zdawało się, że wypełnia całą przestrzeń, przesłania światło.

Podszedł teraz do kominka, rozwinął kartkę, której brzegi były urwane, przebiegł oczyma pisany na maszynie tekst z nadrukiem „Laval i Piollet, adwokaci i radcy prawni przy Trybunale w Paryżu”.

Po prawej, dopisek czerwonym atramentem: „Sprawa Coucheta, Opinia prawna z 18 listopada”.

Dwie bite strony ciasnego tekstu bez interlinii. Maigret czytał na wrywki, półgłosem. Z biur Szczepionek Rivière dolatywał stukot maszyn do pisania.

„W myśl ustawy z roku...

Ponieważ śmierć Rogera Coucheta nastąpiła później niż śmierć jego ojca...

...żaden testament nie może pozbawić prawowitego syna należnych mu praw...

...ponieważ drugie małżeństwo spadkodawcy z panną Dormoy zawarte zostało pod klauzulą wspólnoty majątkowej...

...naturalnym spadkobiercą Rogera Coucheta jest matka...

...mamy zaszczyt potwierdzić, że ma pani prawo domagać się połowy majątku pozostawionego przez Raymonda Coucheta, tak ruchomego jak i nieruchomego... który według naszych prywatnych informacji szacujemy, zastrzegając prawo do błędu, na sumę około pięciu milionów, w czym wartość firmy znanej pod nazwą „Szczepionki Rivière” uwzględniona została w tej ocenie do wysokości trzech milionów...

...pozostajemy do pani dyspozycji jeśli idzie o wszelkie formalności związane z anulowaniem testamentu...

...potwierdzamy, że z sum uzyskanych dzięki temu zainkasujemy opłatę w wysokości dziesięciu procent (10%) na koszt...”

*

Pani Martin przestała płakać. Położyła się z powrotem, a zimny wzrok wbiła znów w sufit.

Martin, bardziej niż zwykle zbity z tropu, stał we framudze drzwi, nie wiedząc co począć z rękoma, z oczyma, z całym ciałem.

— Jest jeszcze postscriptum! — Maigret mówił jak gdyby do siebie.

Postscriptum poprzedzone było nagłówkiem „Ściśle poufne”:

„Dowiadujemy się, że pani Couchet, z domu Dormoy, jest również skłonna zakwestionować testament.

Poinformowaliśmy się także na temat trzeciej beneficjentki, Niny Moinard.

Jest to osoba wątpliwych obyczajów, która dotąd nie poczyniła żadnych kroków, by zabezpieczyć swoje prawa.

Z uwagi na to, że w chwili obecnej jest bez środków, wydaje nam się najbardziej wskazane zaproponować jej jakąś sumę w charakterze odszkodowania.

Z naszej strony oceniamy sumę tę na dwadzieścia tysięcy franków, co powinno skusić osobę znajdującą się w położeniu panny Moinard.

Oczekujemy pani decyzji w tej materii”.

Maigret pozwolił, by mu fajka zgasła. Starannie złożył kartkę i wsunął do portfela.

Wokół niego panowała absolutna cisza. Martinowi udało się nawet wstrzymać dech. Jego żona, leżąc na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit, wyglądała jak nieżywa.

— Dwa i pół miliona franków... — mruczał komisarz. — Minus dwadzieścia tysięcy dla Niny, żeby poszła na rękę... Chociaż połowę tej sumy wyłoży z pewnością pani Couchet!

Był pewny, że na wargach chorej pojawił się ledwie zarysowany, ale wiele mówiący uśmiech triumfu.

— Ładna sumka! Niech — no mi pan powie, panie Martin...

Ten wzdygnął się, usiłował zająć postawę obronną.

— Na ile pan liczy? Nie mówię o pieniądzech, mówię o wyroku. Kradzież. Zabójstwo. Może da się dowieść premedytacji. Jak, pańskim zdaniem? O uniewinnieniu nie ma oczywiście mowy, bo przecież nie chodzi o zbrodnię w afekcie. Gdyby pańska żona nawiązała stosunek ze swoim byłym mężem, to tak... Ale to nie wchodzi w rachubę. Szło o pieniądze, tylko o pieniądze. Dziesięć lat? Dwadzieścia? Chce pan wiedzieć, co ja o tym myślę? Musi pan pamiętać, że nigdy nie sposób przewidzieć, co postanowią sędziowie przysięgli... Wprawdzie są precedensy. No cóż, można powiedzieć, że z reguły okazują pobłażliwość w tragediach miłosnych, ale za to są nad wyraz surowi w sprawach pieniężnych...

Można by sądzić, że mówi aby mówić, że chce tylko zyskać na czasie!

— To zresztą zrozumiałe! To drobnomieszczanie, sklepikarze. Sądzą, że nie mają się czego obawiać ze strony kochanek, których nie mają lub których wierności są pewni. Ale obawiają się złodziei. Dwadzieścia lat? No nie, ja raczej sądzę że czapa...

Martin nawet nie drgnął. Z nich obojga on był teraz bardziej siny, musiał się trzymać futryny drzwi.

— Ale za to pani Martin będzie bogata. Jest w wieku, kiedy jeszcze potrafi korzystać z życia i z majątku...

Zbliżył się do okna.

— Chyba, że to okno... W tym cały szkopuł. Na pewno ktoś zwróci uwagę, że stąd można było wszystko widzieć. Słyszysz mnie pan, wszystko! A to poważna sprawa. Bo może wzbudzić podejrzenie o współudział. A kodeks karny zawiera taką małą klauzulę, która zabójcy, nawet uniewinnionemu, nie pozwala dziedziczyć po swojej ofierze. Zresztą nie tylko zabójcy. Wspólnikom też. Więc pojmuje pan, jakie to okno ma znaczenie...

Teraz to już nie cisza panowała wokół niego. To było coś absolutnego, bardziej niepokojącego, prawie nierzeczywistego: całkowity brak jakiegokolwiek życia.

I nagle pytanie:

— Niech mi pan powie, panie Martin, co pan zrobił z rewolwerem?

Na korytarzu coś się ożywiło: pewnie stara Matylda o bezmyślnej twarzy, ze sflaczałym brzuchem pod fartuchem w kratkę.

Na podwórzu przejmujące wołanie dozorczyńni:

— Pani Martin! To od Dufayela!...

Maigret siadł w fotelu, który zahuszał się, ale nie od razu się złamał.

XI. PALCEM PO ŚCIANIE

— Odpowiadaj! Ten rewolwer...

Komisarz poszedł za wzrokiem Martina i zauważył, że pani Martin, która ciągle oczy wbite miała w sufit, porusza palcami po ścianie.

Biedny Martin robił nadludzkie wysiłki, by zrozumieć, czego od niego chciała. Widział, że Maigret czeka na odpowiedź.

— Ja...

Co mógł znaczyć ten kwadrat czy trapez, który wychudzonym palcem rysowała po ścianie?

— No więc?

W tej chwili Maigret naprawdę czuł dla niego litość. Ta minuta musiała być straszna! Martin dyszał z niecierpliwości.

— Wrzuciłem go do Sekwany...

Klamka zapadła! Komisarz wyciągnął rewolwer z kieszeni i położył na stole. Pani Martin uniosła się na łóżku z twarzą wykrzywioną przez wściekłość.

— A ja go znalazłem w kubie na śmiecie — powiedział Maigret.

Rozległ się charczący głos chorej, zżeranej przez gorączkę:

— Tam!... Teraz już rozumiesz? Zadowolony jesteś? Jeszcze raz zmarnowałeś okazję, jak zawsze, jak każda! Można by pomyśleć, że to zrobiłeś celowo, ze strachu przed więzieniem. Ale i tak pójdiesz siedzieć! Bo kradzież — to ty! Trzysta sześćdziesiąt banknotów, które szanowny pan był uprzejmy wrzucić do Sekwany...

Wyglądała koszmarnie. Widać było, że już zbyt długo się hamowała. Odprężenie nastąpiło zbyt brutalnie. Teraz była tak podniecona, że czasem kilka słów jednocześnie wykwitowało na jej wargach, że połykała całe sylaby.

Martin pochylił głowę. Jego rola była skończona. Żona słusznie miała mu za złe, że zawiódł żalostnie na całej linii.

— ...Szanowny pan zabiera się do kradzieży, ale rękawiczkę zapomina na biurku...

Pani Martin musiała dać teraz upust wszystkim żalom, wyrzucała je z siebie jeden po drugim, bez ładu i składu.

Maigret usłyszał za sobą pokorny głos mężczyzny w jasnobieżowym płaszczu.

— Całymi miesiącami pokazywała mi przez okno ten gabinet. I Coucheta, który miał zwyczaj wychodzenia do toalety... Robiła mi wymówki, że jej złamałem życie, że nie potrafię utrzymać żony... Więc poszedłem...

— Powiedział jej pan, że pójdzie?

— Nie! Ale ona wiedziała. Stała przy oknie...

— Pani Martin, więc z daleka zobaczyła pani rękawiczkę, którą mąż zapomniał na biurku?

— Równie dobrze mógł zostawić swoją wizytówkę! Można pomyśleć, że rozmyślnie chciał mnie doprowadzić do szału...

— No i wtedy wzięła pani rewolwer i zeszła na dół... Couchet wrócił, kiedy pani była w jego gabinecie. Myślał, że to pani ukradła pieniądze...

— Tak, chciał nawet wezwać policję, żeby mnie aresztowano! Jak gdyby to nie mnie zawdzięczał swój cały majątek! Kto go pielęgnował na samym początku, kiedy z trudem zarabiał na suchy chleb? Wszyscy mężczyźni są tacy sami! Pozwolił sobie nawet robić mi wyrzuty, że mieszkam w tej samej kamienicy, gdzie on ma biura... Oskarżył mnie, że dzielę się z synem pieniędzmi, które on mu dawał...

— I wtedy pani strzeliła?

— On już wziął słuchawkę, żeby zadzwonić na policję!

— Potem podeszła pani do śmietnika. Pod pretekstem szukania srebrnej łyżeczki, wrzuciła pani rewolwer między odpadki. Kogo pani wtedy spotkała?

Wypluła:

— Tego starego kretyna z pierwszego piętra!

— Nikogo więcej? Zdaje się, że przyszedł syn... Nie miał pieniędzy.

— I co z tego?

— On przyszedł nie do pani, ale do ojca, prawda? Tylko że pani nie mogła pozwolić, by wszedł do biura, bo natknąłby się na zwłoki... Staliście oboje na podwórzu. Co pani powiedziała Rogerowi?

— Żeby sobie poszedł... Pan nie potrafi zrozumieć matczynego serca...

— Więc poszedł... A mąż wrócił. Nie rozmawialiście ze sobą. Mam rację? Martin myślał o banknotach, które koniec końców wrzucił do Sekwany, bo to w gruncie rzeczy człowiek biedny, ale uczciwy...

— Biedny ale uczciwy! — powtórzyła pani Martin z niespodziewaną furią — ha, ha, ha! A ja? Ja, zawsze nieszczęśliwa...

— Martin nie wiedział, że pani go zabiła. Położył się spać. Przez cały dzień nic mu pani nie powiedziała. Ale następnej nocy, kiedy się rozebrał, wstała pani z łóżka, żeby przeszukać garnitur. Daremnie szukała pani tych banknotów. A on się pani przyglądał... Zaczęła go pani wypytywać. To ten wybuch wściekłości usłyszała zza drzwi stara Matylda! Zupełnie niepotrzebnie pani mordowała! Ten dureń, Martin, wyrzucił pieniądze! Przejego tchórzostwo cały majątek poszedł na dno Sekwany! Rozchorowała się pani od tego, dostała wysokiej gorączki... A Martin, który nie wiedział, że to pani zabiła Coucheta, poszedł zawiadomić Rogera. Za to syn zrozumiał! Przecież widział panią na podwórzu, nie pozwoliła mu pani pójść do ojca. A on panią zna... Zdawało mu się, że ja go podejrzewam, bał się, że go aresztuję, oskarżę. A przecież nie mógł się bronić, nie oskarżając matki... To może nie był bardzo sympatyczny chłopak. Ale w pewnym sensie można jego tryb życia usprawiedliwić. Odczuwał wstręt... wstręt do kobiet z którymi sypiał, do narkotyków, do Montmartru po którym się włóczył, przede wszystkim zaś do tej tragedii rodzinnej, której wszystkich sprzężyn się domyślał. Więc wyskoczył przez okno!...

Martin stał oparty o ścianę, z twarzą wtuloną między skrzyżowane ramiona. Ale jego żona nie spuszczała oka z komisarza, jak gdyby tylko czekała sposobnej chwili, aby się włączyć do jego opowieści, aby przejść do natarcia.

Wtedy Maigret pokazał jej list z poradą adwokacką:

— Podczas mojej ostatniej wizyty Martin tak się przeraził, że gotów był przyznać się do kradzieży. Ale pani czuwała... Zobaczył panią przez uchylone drzwi, dawała mu pani rozpaczliwe znaki, żeby zamilkł. Czy nie to otworzyło mu wreszcie oczy? Zaczął panią wypytywać... „Tak, zabiłam!” — wykrzyknęła mu pani prosto w twarz. Zabiła pani dla niego, żeby naprawić jego niedopatrzenie, usunąć tę nieszczęsną rękawiczkę z biurka! A ponieważ pani zabiła, mimo testamentu nie może pani dziedziczyć majątku! Gdyby tylko Martin był prawdziwym mężczyzną! Niech ucieka za granicę! Wszyscy uwierzą w jego winę, policja będzie siedziała cicho, a pani zainkasuje te miliony. „Jedź, mój biedny Martinie, jedź!...”

Maigret nieomal rozpląszczył poczciwca potężnym klepieniem w ramię. Mówił bezbarwnym głosem, nie akcentował słów.

— Tyle trudu dla pieniędzy... Zabójstwo Coucheta... Samobójstwo Rogera... I wszystko po to, żeby w ostatniej chwili dowiedzieć się, że nici z majątku... Pani wolała sama spakować bagaże Martina. Wzorowy porządek w walizkach, bielizna na wiele miesięcy...

— Niech pan przestanie! — skamlał Martin.

Wariatka znów zaczęła krzyczeć. Maigret raptownie otworzył drzwi, a stara Matylda omal nie wpadła do środka!

Uciekła, przerażona tonem komisarza i chyba po raz pierwszy naprawdę zamknęła drzwi swojego pokoju, przekręcając klucz w zamku.

Maigret po raz ostatni potoczył wzrokiem po pokoju. Martin nie śmiał ruszyć się z miejsca. Jego żona siedziała na łóżku, tak wychudzona, że łopatki rysowały się wyraźnie pod nocną koszulą, i oczyma śledziła komisarza. Stała się nagle tak ponura, tak opanowana, że Maigret zaniepokoił się, co znów knuje.

Przypomniawszy sobie pewne spojrzenia w czasie poprzedniej sceny, pewne ruchy warg. I nagle, jednocześnie z Martinem, przeczuł, co teraz ma nastąpić.

Ale nie mogli niczemu zapobiec. Wszystko działo się poza nimi, jak w koszmarnym śnie.

Pani Martin była chuda, strasznie chuda. Jej rysy jeszcze bardziej nabrzmiały bólem. W co się tak wpatrywała w tym pokoju, gdzie znajdowały się tylko banalne, dobrze jej znane sprzęty?

Za czym tak bacznie wodziła spojrzeniem?

Zmarszczyła czoło, w skroniach pulsowała krew. Martin krzyknął:

— Boję się!

W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Na podwórze wjechała ciężarówka, słychać było piskliwy głos dozorczyńni.

Zdawać by się mogło, że pani Martin sama jedna podejmowała teraz nadludzki wysiłek, jak gdyby wspinała się na niebotyczną górę. Dwukrotnie uczyniła ręką ruch, jak gdyby chciała coś odpędzić od twarzy. Wreszcie przełknęła ślinę, uśmiechnęła się jak ktoś, kto dotarł do celu:

— A mimo wszystko jeszcze przyjdziecie do mnie prosić o pieniądze. Powiem notariuszowi, żeby nie dał nic...

Martin drżał od stóp do głów. Zrozumiał, że to już nie jest przemijająca maligna, zrodzona z gorączki.

Postradała zmysły! Teraz już nie ulegało wątpliwości.

— Nie można je o to winić! Nigdy nie była taka jak wszyscy, prawda? — zaczął biadolić, czekając potwierdzenia ze strony komisarza.

— Mój biedny Martinie...

Martin płakał! Ujął rękę żony i ocierał nią swoją twarz. Ona go odpychała. Na twarzy błąkał się uśmiech wyższości, wzgardy.

— Nie więcej, niż pięć franków na raz... Dość się wycierpiałam...

— Zadzwońię do szpitala Świętej Anny — powiedział Maigret.

— Sądzi pan? Czy... czy naprawdę trzeba ją zamknąć?

Siła przyzwyczajenia? Martina przerażała myśl o opuszczeniu swojego mieszkania, tej atmosfery codziennych wymówek i kłótni, tego ponurego życia, tej kobiety która po raz ostatni próbowała jasno myśleć, ale zniechęcona, pokonana, opadła na łóżko i wystękała z nadzieją w głosie:

— Niech mi przyniosą klucze...

W parę minut później Maigret, jak obcy, snuł się wśród mrowia zalegającego ulice. Miał straszliwy ból głowy, co mu się rzadko zdarzało, więc wszedł do apteki, żeby połknąć proszek.

Wokół siebie nie widział nic. Hałas wielkiego miasta mieszał się z jakimiś innymi dźwiękami, przede wszystkim z głosami, które ciągle echem odbijały się w jego głowie. Jeden obraz zwłaszcza obsesyjnie nie dawał mu spokoju: pani Martin wstająca w nocy, podnosząca z ziemi ubranie męża i szukająca pieniędzy! I Martin, który się temu z łóżka przyglądał. Pytające spojrzenie żony. I odpowiedź: „Wrzuciłem je do Sekwany...” To chyba od tej chwili coś się w niej musiało załamać. A raczej zawsze chyba brakło jej piątej kleпки. Chyba jeszcze wtedy, kiedy żyła w rodzinie cukiernika z Meaux!

Tylko że wówczas nikt na to nie zwracał uwagi. Była młodą dziewczyną, nawet niebrzydką. Nikt nie zaprzętał sobie głowy jej zbyt wąskimi wargami.

A Couchet ożenił się z nią!

„Co ze mną będzie, jeśli tobie coś się stanie?!”

Niepostrzeżenie Maigret znalazł się na bulwarze Beaumarchais. Bez powodu pomyślał o Ninie. „Nie dostanie nic, ani grosza — wymamrotał półgłosem — testament zostanie obalony. A ta pani Couchet, z domu Dormoy...”

Pułkownik z pewnością zajął się już tą sprawą. To było normalne. Pani Couchet zatrzyma wszystko. Miliony...

To była kobieta wytworna, która potrafi stanąć na wysokości zadania...

Maigret powoli wdrapywał się po schodach, otwierał drzwi swego mieszkania przy bulwarze Richard-Lenoir.

— Zgadnij, kto przyjechał!

Pani Maigret rozkładała na białym obrusie cztery nakrycia. Komisarz zauważył na kredensie dzbanek z nalewką na śliwkach.

— Twoja siostra!

Nietrudno było zgadnąć, gdyż ilekroć przyjeżdżała z Alzacji, przywoziła dzbanek owocowej nalewki i wędzoną szynkę.

— Poszła z Andre po zakupy...

Szwagier! Poczciwy facet, który kierował cegielnią.

— Wyglądasz na zmęczonego... Mam nadzieję, że dziś już przynajmniej wieczorem nie wychodzisz?

Tak, tego wieczora Maigret został w domu. O dziewiątej grał w karty ze szwagierką i szwagrem. Po całej jadalni rozchodził się zapach śliwkowej nalewki.

A pani Maigret co chwila wybuchała głośnym śmiechem, bo nigdy nie potrafiła nauczyć się grać w karty i robiła wszystkie możliwe głupstwa.

— Jesteś pewna, że nie masz dziewiątki?

— Owszem, mam.

— To dlaczego nie dokładasz?

Na Maigreta to wszystko działało jak zbawienna gorąca kąpiel. Minał mu nawet ból głowy.

I wcale już nie myślał o pani Martin, którą karetka odwiozła do Świętej Anny, podczas gdy jej mąż szlochał sam jeden na pustej klatce schodowej.